

Płanety



WŁADYSŁAW ORKAN

Płanety

Chłop na łany wyszedł

Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: «Któż wie, któż,
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć»...

«Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła» —
Prasnął kosą, aż brzękła — rzucił sierp:
«Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!»
Zęby zaciął — na powieki trysła łza...

I potoczył łzawem okiem w ciemną dal:
«Przyjdzie zczeznać... Ha, no darmo! To i cóż?
«O mnie mniejsza — ino dzieci... dzieci żal!..»

I do serca pchał się gwałtem dziwny lęk —
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

Nad urwiskiem (I)

Promienie wiosenne słońca, idąc ukosem po niedawno ze śniegu obeschłych stokach, doszły do pustych wyrębów na stromem zboczu góry, zarysowały białą stado siedzących rzędami pniaków i zblękitniły dym, rozplywający się ku górze białą chmurą, a dobywający się szarymi palcami z każdego gonta, z każdej szpary niskiej chałupiny podleśnej.

Ludzie już wstali — słońce dalej poszło, nie zajrzało...

Wstali od świtu mieszkańcy chałupiny leśnej.

— Na wiosnę drogi czas, na spanie zima. Wstań, ugotuj śniadanie i do pola!..

Temi słowy obudził Bartek swoją babę.

Przeciągnęła się leniwie, jak kotka na przypiecku. Ciepło jej było i dobrze. Ale „jak mus, to mus”. Wskoczyła z łóżka, wdziała spódnice i przeszła ku nalepie, a dzieci, zbudzone gwarą, figlowały z ojcem na łóżku.

Niezadługo Bartek zostawił dzieci same, wytrzeptał z włosów szczecinowych słomę, co mu przez noc nalazła, i umywszy się zimną wodą z konewki, przeszedł do okna zmówić pacierz...

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie — szeptał bezmyślnie, patrząc przez szyby na dolinę, gdzie cała wioska osiedlami się rozłożyła... Zagony krótsze i dłuższe krzyżują się naprzemian, wchodzą jedno w drugie i klinami wdzierają się w puste ugory i pastwiska.

Zdaje się, że wielka jakaś siła rzuciła stary, zzieleniały płaszcz na ziemię, na którym lata na łacie o różnych wielkościach i barwach.

— Ale nas zbaw ode złego — dodał głośniejszym głosem i zwrócił się do żony. — Patrzno, Ulka! Jasiak od Grele już hań orze koło Zimnej Wody...

— A niechta! — odpowiedziała, wsypując ziemniaki do garnka. — Jak Bóg da, to i my zaorzemy na czas. Nie mamy wiela...

— E, dyć!.. — zasępił się Bartek i począł dalej szeptać: — Zdrowaś Marjo, łaskis pełna... Nie mamy wiela, nie...

Po każdym następnym „Zdrowaśku”, chwycił się za każdy następny palec, żeby nie zmylić przypadkiem, bo miał zamiar zmówić całą cząstkę różańca. Aleć przy piątym Zdrowaśku już nie mógł nijako dojść do końca...

To zaczynał nanowo, to się żegnał parę razy, ale wszystko na nic. Nie mógł przywołać myśli, które woli jego już od samego świtu wypowiadały posłuszeństwo, a teraz stanęły w jawnej niezgodzie z nim samym...

— Nie porada se dać rady — szepnął i poszedł za niemi, gdzie go wiodły.

Widzi... „Jasiak orze zagon koło Zimnej Wody. Hań, za Działek wyciągnął pług Józek od Cieśli... małemi byczętami... nie stać go na większe... A przecie do niedawna był z niego rzomny gospodarz!”

Przebiega okiem pola i zagrody... „Jak to wszystko zmałało do kaduka! Hań nieboszczyk Szymek od Grzędy miał teli kawałek... całe długie stajanie... Dziś ino strzępy. Dzieciska potargały, podzieliły się do równości — zostało im po zagonie... A dyć ono nie ino hań! Bo i u Zapaly nie dojrzyś kawałka na całej roli, coby korzec owsa mógł wleźć na niego... Same zagony wążiuteńkie, jak nitki... Miedze i miedze — jedna przy drugiej... Do kaduka! Cóż się to dzieje?... Przecie to niedawny czas, a tak się pozmieniało wszystko... Coby to było?...” — Myśli... — „Aha! już, wnedziutki... ino, ino... zaraz... Nieboszczyk dziadek miał całą tę zagrodę, kaj ja siedzę... Dziś nas pięciu do tego... bo tak: On podzielił synów, ci — swoje dzieci... a ja znowu podzielię...

Prerażone oczy latały od miedzy do miedzy, od zagona do zagona — myśl pracowała uparcie, aż mu pot kroplami stanęła na czole. Z wyobraźni zniknęła wieś dawna, którą jeszcze w myślach nosił — i dzisiejsza oddalała się zwolna — a z po za mgły, z przyszłości, występują miedze... same miedze, jedna przy drugiej, jak skiby na uwrociu... Wilgotne bruzdy czerwienią się rdzawo, jak gęsto ścięta, skrzepła krew... A tłumy ludzi idą mrowiskiem, czernią, miljonową szarańczą zalewają krwawe pola... I widać, jak się to robactwo kłębi, dusi i spycha i walczy zajadle o każdą skibę, aż ziemia powilgotniała od czarnej posoki, a ciepłe opary unoszą się w powietrzu...

Chłop drgnął — ujrzał się nagle nad urwiskiem... Szklane oczy spojrzwały w przepaść... Przymknął je, jakby w obliczu śmierci... Widmo okropnej nędzy stanęło tuż przy nim, blisko... Zeszedł się z niem oko w oko. I zbladł i począł dygotać na całym cielem... Każda żyłka zadrgała przerażeniem.

— Jezus! Jezus! — wykrztusił i otworzył szeroko oczy, zapatrzony w przyszłość...

— Co ci to Bartuś? — spytała miękko żona.

— Nic, nic...

Ruszył do sieni, żona za nim...

— Kaj idziesz?

— Do roboty — odparł bezdźwięcznie.

— A śniadanie?

Nie odrzekł nic. Wyszedł za próg, na osiedle, wyciągnął pług, nabił lemiesz i trzósło i poszedł do stajni wyprowadzić woły...

— Trza robić, trza... — powtarzały wargi wciąż i bezustanku.

Robi wszystko, jak dawniej, lecz machinalnie i bez uczucia.

Wiarę stracił — i porusza się, jak maszyna, party jedyną koniecznością życia.

— Trzeba żyć, trzeba...

W szeroko otwartych i naprzód zapatrzonych oczach drzemie tylko jedyna myśl — o czarnej przyszłości.

Wilija

W chałupie Błażeja Szczypty panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki”, z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie:

— Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło!... Bo jak na wilję dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przybaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłazniczkę, popatrzał na nie z napół surowym uśmiechem i rzekł od progu:

— Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na wiliją — dzieci biją”...

Tereska nie potrzebowała napomnienia; miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józus, który w izbie robił hałas za dziesięć — ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

— Tereś! — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami lnianej koszuli mieszała ciasto na nieckach — umyj se ręce i zabier się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

— Dyc jeszcze czas... — zauważyła Terenia, nie chcąc przerywać milej roboty. Lubiła patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?... A groch trza długo gotować, coby uwrzał...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, oplukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może się prędzej ruszy... — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecienia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to będzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołaczki będą...

— Dziś?... — spytał starszy.

— Dziś póst... nie wiesz o tem? Wilija...

— To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresie, że dopiero na wieczór ugotuje...

— Na wiliją... — oświadczyła matka.

— To dopiero wieczór wilija?... — pytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...

— Na wieczór!... — szepnęli smutno obydwaj i spojrzeli ku garnkom, stojącym rzędem na nalepie.

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupienia kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, rażno, wartko... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok niewidzianej wilji...

Niebawem i Błażej wrócił z podłazniczką. Zmarł jak sęk, bił kerpami o ziemię i pchał się ku piecowi...

— Mróz, jak sto djabl...

— Cit!... — pogroziła mu żona — wilija dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószyysz. W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczami, jeszcze raz kerpem jęknął o ziemię i pognął do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać...

— Tereska! — zbaczyła se matka — leć no za ojcem, niech zruce drobnego siana...

— Na stół! Prawda! — klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał prawie do samej ziemi. Dusila się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...

— Dyc się przecie musi przewalić... — powtarzała głośno.

— Mamo! szczypie! dym!... — wołał Józus.

— To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucili się strzałą przez sień, drzwi tylko do izdebki zaskrzypiały... Dym pchał się otwartymi na oścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było pełno.

— Niech będzie pochwalony!... — rozległo się w sieni.

— Na wieki wieków!... — wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.

— A, to ty, Jagniesz!... Pójdź-że dalej, ale tu dym...

— A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... — odpowiedziała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni. — O, moja gosposiczko!...

— Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

— Pytajcie się, kaj idę... bo sama nie wiem. U ludzi wilija, a u mnie zawdy póst...

— No, siądźno, siądź, nie narzekaj — mówiła łagodnie gospodyni. — Zostaniesz na wiliję u nas. Nie dużo nas, to się zmieścisz...

— O, moja gosposiczko!... — drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięk. Ona, biedna komornica, raz będzie na „porządnej wilji”, w ciepłe, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

— Cóż ta u ludzi słyhać? — spytała po malej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierając jeszcze... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi? u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wilję — każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może... Jasiiek z Brzegu kupił worek mąki od żyda...

— Czy mu już brakło ziarna?

— Co mieli, to zjedli na jadvencie. Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...

— No i pomyślijcie, kaj ta do przednowku, a już kupują...

— La biednych cały rok przednowek.

— Dyc tak, nie inaczej... — zadumała się gospodyni, patrząc z założonymi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości, o dzieciach swoich... „Dziś jeszcze mają... ale potem, za jakiś czas... czy się obejdą na wilję o swoim? Czy ich bieda nie zmusi kupować — i za co?...”

— Rusza się... rusza!... — wołał wesoło mały Józus, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartymi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy.

— Bez uroku! piekne ciasto. Będą się kołaczki darzyć...

— Oh, już czas! a ja się zagadała... — karcila się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklepywała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Teresa, niosąc na narączku drobne siano.

— Cóż tak siedzicie? — zburczała ich gospodyni. — Tereś! Bój się Boga, to już dawno z południa, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu! Siano podścielisz na dość czasu...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy nie będzie markotno, że ją gaździna zatrzymała na wiliją... Chłop się rozśmiał dobrodusznie. Więc, bardzo rada, pozwijała się w klębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak najmniej miejsca zajmować...

Tereska zwinęła się koło nalepy, podnieciła ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołaczki rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicia nie dostało, bo podłaziły matce pod łopatę, na której wsadzała placki.

Błażej zaś „śwarniał się” po izbie tu i tam. Bydłu polanie przyniósł, podłazniczkę obcinał, ale i głód mu ścisnął wnętrzności, bo często zazierał do garnków, rychło się uwarzy...

Mroczyło się powoli... Nadchodził wilijny wieczór. Czuć go już było w podnieconej gorączce oczekiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota — od rana nic nie jedli, żeby na wiliję mózdz więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć...

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczery...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo” z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas, gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono w izdebce stół drobnym sianem i przykryto lnianą paruchą.

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękli na ziemi...

— „Pobłogosław, Panie, te dary...” — mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józus nie uczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominawszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica lzy miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu... zgodnie — pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniałi i wyławiali drewnianymi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie... Potem szła kapusta z grochem i suszonymi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkim mlekiem...

Dwie miski wypróżnili z kretelem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej...

Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku — i to była ich „wilija”...

Matka pozlewała resztę jada bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata — mówił Błażej. — Niech zje, niech i ono ma wiliję, jak się patrzy...

Po wieczery, ojciec wniósł podłazniczkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kołaczki i wyniosła na chłód, a Tereska skończyła odbywać się z bydłem — wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie, gwarząc wesoło i ubierając podłazniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północą wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty, jak kulek, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierzył zadymioną latarkę...

— Idziecie na jutrznię?

— Idziemy...

— To się zbierzcie.

Tańczył po izbie, by się jako rozgrzać, a tymczasem Błażejowa z Tereską wdziwiała łąchy. Błażej się obuwał i pchał ocieplaki słomy do kerpców, bo mróz nie śpasuje...

Wnetki się zebrali i poszli razem na jutrznię. W chaupie została komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w ciepłe po takiej uczcie; miała jednak niemało kłopotu z Józusem, który nie mógł usnąć i wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzuszku i gniecie”...

Gody

I

Ludzie po sumie wysypali się z kościoła. I wbrew swemu zwyczajowi, nie zatrzymują się koło sklepów, nie stają gromadkami na rynku, ale każdy leci w swoją stronę. We wszystkich kierunkach od kościoła idą, rozsypują się po kamieńcu, mijają jedni drugich, spychają się z ław, a co które, to szybciej zdąża ku swojej chałupie. Pędzą ich różne powody, niemniej wszystkie nader ważne. Raz, że to „godnie święto”, Narodzenie Pańskie raz do roku musi się różnić od zwykłej niedzieli, powtórę, większa część ludzi, którzy zdalsza przyszśli, nie miała nic na zębie od wczorajszej wilji... Przyszli na jutrznię, a tu rano jedna msza po drugiej — więc żal im było odchodzić i zostali na sumę. Zato w chałupie czeka ich suty obiad — toż lecą na zabicie.

Przez pusty, biały dział, przecięty dwoma potokami, a podnoszący się stromo ku wysokim Groniom, sypią się ludzie ścieżyną wąską, długim, czarnym sznurem... Idą jedni za drugimi, dyszą ciężko, a nie ustają.

Tam, w górze, przy sinych lasach ślęczą ich chałupy poprzyczepiane, jak szare gniazda jaskółcze pod strzechą. Do nich stermią się pod górę wygłodniali od rana ludziska; nawet starzy ciągną za sobą zmordowane nogi, robią piersiami, jak miechem, a nie ustają... Gdyby tak zajrzeć skrycie w myśli każdego, toby można znaleźć wszędzie jednako nieokreślone pojęcie pragnień, mieszczące w sobie: ciepłą izbę, miskę pęczaków ze skwarkami i coś jeszcze... może rosół z ziemniakami, albo sztukę mięsa. To ostatnie niepewnie, bo na takie zbytki nie zawsze i myśli mogą sobie pozwolić. To jednak pewna, że i kazanie się zatarło, a ksiądz w onracie zbladł „przy ontarzu” i mniej waży w ich obecnych myślach, niż pełna miska pęczaków, miłośnie skwarkami chwytnąca za serce... „Człek żyje, aby jadł — i Panu Bogu się podobał” — dość często spotykane przysłowie, a „przysłowia są mądrością ludów”.

— O, ka hań to już Jędrak!... — mówili ludzie, idący na samym ostatku, wskazując przytem przed siebie, gdzie rysowała się na działku smukła figura opiętego w chazukę parobczaka. — Leci, jak na złamanie karku...

— Chciałby jak najprędzej zasiał na wiesnę, temu leci — ozwał się z wiarą stary Szczepan.

— A wybyście to nie chcieli? — żartowała idąca za nim kumoszka.

— Dyćby każdy rad. Ale cóż? Młodszemu zawdy różniej. Trudno wszyscy mają być pierwsi.

Rozsądną odpowiedzią zamknął głębę śpasobliwej kumoszce.

Odwróciła się do dziewczyny, idącej w tyle.

— A ty Wiktuś, czemu ostajesz na zadku?

— Nika mi nie śpieszno — odpowiedziała hardo Wikta i gniewne spojrzenie rzuciła na działek, gdzie się czerniła chazuka Jędrka.

— Niech leci! — pomyślała. — Myśli, że go będę gonić... jutro!

— Wiktuś — ciągnęła kobieta, nie zrażona suchą odpowiedzią. — Rówieśnice cię poodlatują i co będzie?... Patrz, ka hań to już Jadzia z Anielką! Pod samemi chałupami!... A nie wiesz to, że dziopy powinny dziś na wyścigi lecieć, coby w mięsopusty była o nie dobijacka...

— Nika mi się nie śpieszy... — odrzekła sucho.

— Taak? A chciałaś na jądwencie wesele zrobić. Nie śpieszyło ci się? co?

Głośny śmiech idących przodem zawtórował słowom złośliwej kumoszki. Wikta zaciśnęła zęby i stanęła, odwracając się za siebie, choć nie było kogo wyzierać, bo już wszyscy przeszli. Śmiechy i docinki oddalających się wpadały zgrzytem w jej uszy. Złość ścisnęła jej serce i wypierała do oczu łzy, które staczały się po zacerwienionem licu i spadały duże, jak paciorki, na gwiazdzisty, śnieżny puch.

Ludzie odeszli ją i zostawili samą na białym działu. Odwróciła za nimi głowę. Już dochodzili Gronia i tracili się po jednemu, po dwóch... Wreszcie ostatniego chałupa skryła za działkiem.

— Trza iść — szepnęła. — Nic nie wystoję. Ale przecie nie będą dogryzać...

— O, ja głupia, sto razy głupia! — mówiła sobie idący. — Było mi nie wierzyć obertalowi, jażby nas był ksiądz od ontarza odegnał... A tak — pośmiewisko i nic więcej. Każdy na ciebie patrzy, jakżebyś mu był co winien...

— Co oni mają do mnie? — rozogniała się coraz więcej. — Niech siebie patrzą, nie kogo!... Co ja komu wadzę?... Co ino wtóre idzie, to cię musi ugryźć. Ani w kościele nie stanij, ani na drodze nie podchodź, bo cię zaraz dożrą i uszczypią... A to bez tego przekłętogo Jędrka! Teraz to ucieka, bo nie śmie spojrzeć w oczy... Kole go... A niech go kole! Ja se ta nic z tego nie robię...

Nie pomogło jednak „oscymanie”, ani żadne wewnętrzne perswazje, bo lzy gwałtem cisnęły się do ocz. Tak ich było pełno, że się ustanowić nie mogły... Przekonaną była, że go nienawidzi. I w tej nienawiści musiała ciągle o nim myśleć... Co za los!

Doszła powoli do chałupy. Nie czekali na nią z obiadem, bo już zaczęli z drugiej miski, kiedy weszła do izdebki. Matka zaraz poczęła na nią swarzyć, czemu nie przyszła odrazu po sumie...

— Dyc po sumie idę...

— Aha, po sumie... Kto wie, jakiej!

— Dyc-em z tatusiem wyszła z kościoła...

— Tatus już w chałupie od dawna... A tyś którądy szła, że cię nie widać?

— Prosta drogą.

— No, no... ino zawdy taką prostą drogą chodź, to wychodzisz!...

— Co mam wychodzić?

— Nie wiesz, co? — zerwała się w gniewie matka. — Tyś zawdy szła prościusienko, ino nie tam, kaj ludzie chodzą!... Potrzebno ci było z Jędrkiem ostawać u kościoła? Cóżes wygrała? To, że cię zabałamucił, niby to począł się żenić i zwłókl do jadwentu. Zapowiedzi wyszły, ludzie czekają... a tu nic!

— Przecie ja temu nie winna.

— Ino kto?!

— E, dałabyś pokój raz tym wykładaniom — ozwał się ojciec, oblizując łyżkę. — Lepiej pójdzcie jeść, to se przy jedle powiecie, co macie pedzić. Ze się Jędrak nie dożenił, to się dożeni... Na wesele zawdy czas.

— Zaś ta nie zawdy!... — zaprzeczyła żona. — Zwleka się, zwleka, a potem się ze ślubem spóźnią... i co bedzie? Dość już śmiechu ludzkiego i obrazy Boskiej.

— Toś mogła Wikty na boisko nie wyganiać! — rozsierzdził się chłop. — Miała ka w izbie legać... a tyś matka od tego, rozumiesz?!

Żona, zamiast wpaść w większą pasję, przeżegnała się dwa razy.

— W Imię Ojca i Syna... Jantuś! Co se ty przybierasz do głowy? To ja może Jędrkowi rała, kany Wikta śpi? co? może ja?!

— Eh — machnął ręką — tu nie o to idzie. Młodemu rać nie trza, sam trafi. Ino trza było strzedz... rozumiesz? Bo dziopa, jak zwyczajnie dziopa, niedowarzona...

— Ale... wyście wszystkie niedowarzone! — dodał po chwili i jął się jadła.

Wikta tymczasem zdjęła lachy i siadła z matką obok miski. Jedli jakiś czas w milczeniu, każde zajęte swojemi myślami, a może wszyscy jednemi, bo sięgali na jedną miskę... O Jędrku już nie było mowy.

Po obiedzie, gdy ojciec poodbywał się z bydłem, a Wikta posprzątała miski, znaleźli się znów razem w ciepłej izdebce. W piekarni, izbie dymnej, skąd ciepło, zaraz po wypaleniu na nalepie, ucieka, siedziała sama „służąca z dzieckiem”. To dziecko było kamieniem niezgody między Jantkiem a żoną. Przy każdym jedzeniu musiała mu je zbaczyć, a on, wściekły, nie dojadł, ale łyżką prał o ziem i odchodził z pogroźką, że się to raz musi skończyć. O jakim „skończeniu” myślał — trudno było dociec...

Ciągle swarzenie na ojca ustalo, a poczęło się umęczenie córki, kiedy się Jędrak nie dożenił... Odtąd stale, przed każdym jedzeniem, przypominała jej matko dobitnie, że „raz musi dokończyć (niech się co chce dzieje) i złapać Jędrka, zanim mięsopust nadejdzie” — tu szedł ostatni, najsilniejszy argument, że się „łatwo mogą ze ślubem spóźnić”...

Ojciec, pomnąc swoich udręczeń, brał córkę w obronę, choć sam w duchu przyznawał rację żonie... Zresztą chciał mieć zawdy swoje zdanie, by żonie ani na chwilę bez myśl

nie przeszło, że stoi pod jej władzą... Trzymał się stale opozycji, nie domyślając się, że to broń słabszych...

Jednak przed rozumem żony miał wielki respekt. I nieraz se już pedział, że jego „baba, to przeznaczenie”...

— Co uradzi, to się musi stać, choćby się człek na głowie postawił...

I jak powiadał, ożenił się z musu, bo już „od maleńkości bał się przeznaczenia”...

— Ale cóż? — mawiał. — Jak cię ma trafić, to cię trafi... Ono za człkiem łązi, jak cień... I choćbyś do mysie dziury wlał, to cię najdzie...

Wiarą w „przeznaczenie” słodził swój żywot i pchał tę biedę nieszczęsną, jak mógł.

„Godnie Święta” nadeszły... I Jantek, wygrzewając plecy koło pieca, medytował, czemu te święta ino raz do roku...

— Musiał nie bardzo dbać o ludzi ten, wto je ustanawiał — myślał se cichutko, ale się bał głośno odezwać, bo mu „wóla Boska” zamykała gębę. Na wóle Boską zwałował wszystko złe na świecie... I z tem mu również było dobrze.

Grzejąc się przy piecu i medytując, poźierał ku żonie i córce, które cosi uradzały w kącie... Ciekaw był bardzo, co one tam szeptaają, ale na złość, słówkiem nie pisnął...

— Radzicie, to radźcie! A ja i tak muszę mieć swoje słowo na ostatku. Ono się ta bezemnie nie obejdzie... — myślał i czekał końca, nie bez racji, bo żona, nakładłszy w uszy Wikcie, co się jeno zmiesciło, odezwała się głośno:

— A ty, Jantek, pamiętaj se dobrze, żebyś mi Jędrkowi hańby nie zadawał, jak tu jutro przyjdzie.

— No, no, ino ty trzymaj ozór na uwięzi, a o mnie się nie tórbuj! — rzucił się gniewnie Jantek. — Ona mi będzie z góry dyśkunować, co ja mam robić...

Splunął energicznie za piec i począł nakładać fajkę. Ale nie mógł wytrzymać długo. Drażniły go ciche szepty poza plecami.

— A skądże ty jutro Jędrka weźmiesz?... Cały jadwent się nie pokazał...

— To się pokaże na godnie święta — rzekła stanowczo żona.

Jantek pokiwał głową.

— Hm... na jaki sposób?...

— Na taki, że ludzie do ludzi chodzą... rozumiesz?

Udawał, że rozumie, coby go nie posądziła o ciemną pałkę...

Matka z córką, naszeptawszy się do woli, wstały ze skrzyni, gdzie siedziały obok siebie. Musiały coś niepośledniego uradzić, bo matusia przestała krzywo patrzeć na Wikte, której już lica obeschły z łez, a oczy zabłyszczały wesołością...

Jantek, rusz-że się od pieca! Pójdź, ugryziesz co... — mówiła żona, wyjmując kołacz ze szafy i kładąc na stół.

Zbliżyli się we troje, połamali i jedli... Harmonja zapanowała i ciepło w maleńkiem kółku. Niktby nie powiedział, że ci ludzie sprzecząją się niekiedy...

Czas włókl się powoli, jak zwyczajnie we święto. Wiedzieli, że nikt, nawet z bliższa, do nich nie zajrzy. Dwa święta do roku: Godnie i Wielkanoc, w których każdy siedzi w chałupie i je, co może i zdoła, nie zazierając do nikogo. Gdyby w tym czasie otworzyć wszystkie chałupy, jeden przedstawiłby się obraz: rodziny, skupione w kółka, zajęte sobą tylko, zjadające dar boski, na jaki które stać...

Dłgie popołudnie świąteczne przewlokło się leniwie. Wieczór nadciągał powoli. Mrok czarny osiadł na ścianach, kładł się na sprzęty w izbie szarą powłoką i wił się u powały ciemnią...

Jantek wyciągnął kantyczki ze stolika, rozłożył je na stole i począł szukać wesołych kolend. Matka z córką zbliżyły się ku niemu. Trzy głowy pochylały się nad kantyczkami, trzy odmienne głosy niedostrojone, zaśpiewały na skoczną nutę:

W Bethleem przy drodze

Jest zła szopa srodze...

I wesołość wpadła z kolędą do małej izdebki. Zdawało się, że sprzęty puszcza się w taniec. Szafa dudniła, jak dęty instrument, ile razy wybił się niski bas Jantka, ponad cienkie, piskliwe głosy kobiet. Wikcia darła się głośno, jak przy bydle, z radosną ochotą powtarzając każdą zwrotkę, zwłaszcza tę „o pastuszkach”:

Wejdą w szopę mali:
Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciątka na kolébkę...

Serce jej podnosiło się radością wielką. W myśli już huštała „złotą, wierzbową kolebkę” i śpiewała do snu „maleńkiemu”.

Mrok ich owinął całkiem, noc zapadła, a zmęczone głosy nie ustawały...

Można przysiąc, że w każdej chałupie taka kupka w mroku przeszła z kolędami myślą do bethleemskiej szopy i cieszy się, raduje, jak „anieli strugają” — albo też...

Jeden kąpiel grzeje,
A drugi się śmieje:
Trzeci pieluszki suszy,
Každy rad służyć z duszy!...

Raz do roku kółka rodzinne jakieś swojskie, miłe, zgodne, jedną myślą parte do „szopy”, gdzieby każdy „z duszy rad służyć Maleńkiemu”...

Ale to ino raz do roku, na godnie święta...

II

Nazajutrz rano, w dzień św. Szczepana, szła Wikta od Jantkowej chałupy ścieżyną nad potok, gdzie schodziły się drogi z za działku i od wysokich Groni. Widziała przed sobą sznur ludzi, ginących za działem — za sobą nikogo.

Przyśpieszyła kroku, by się na sumę nie spóźnić. Wykrochmalone spódnice suściły po śniegu, nie miała nawet czasu zagiąć do góry, by się nie obstrzępiły... Co ją tam spódnice, co ją cały świat obchodzi!.. Ona tylko wie o tem, że musi Jędrka ściągnąć...

Dlatego przezierala się dziś pięć razy w zwierciadle, zanim wyszła z chałupy, próbowała siły swoich ślepek, a w kościele spróbuje na nim... „Stanie se przy bocznym ontarzu, naprzeciw chóru, ka on stawa, i tak go będzie świdrować oczami, że nie ustoi, ino polecą za nią, ka będzie chcieć... Abo nie! I dawniej przecie świdrowała, a zwłóczył i zwłóczył... Zrobi tak. Stanie se naprzeciw i spojrz tak smutno, jak Matka Boska Bolesna z ontarza... Wtedy mu się sumienie ruszy i... cieszcie się janieli! Bo już po wszystkich lamentacjach”...

— Matusia dobrze radzili — myślała se dalej. — Oni przecie nie tacy źli, jak się wydają... Chciałam ci go złością przyciągnąć i nijak nie szło... Nie szło, nie, bom se chciała z honorem chodzić. Matusia dobrze pedzieli, że się honorowi wnetki ucho urwie i po wszyckiemu! O, nie po wszyckiemu! Dopiero się dziś zacnie!... — zawołała z siłą — spróbuujemy się, kto mocniejszy: ty, czy moje oczki!... Spróbuujemy... O, Najświętsza Panienko, dejże też...

I powoli myśli jej przeszły w cichutką prośbę... o Jędrka.

Zleciała chyżo na dział i ku kościołu. Wpadła pod dzwonnice, pragnąc się dostać gwałtem przed boczny ontarz...

W kościele ciżba była wielka. Mały, drewniany kościółek trząsł się w posadach od napływu parutysięcznego tłumu, który kołysał się, jak fala, parł na ściany — i dusił w świątyni Pańskiej... Kościółek huczał silnym basem organów i jeszcze silniejszym chórem parutysiąca gardzieli, a w przerwie między zwrotkami kolęd wylatywały z tłumu bolesne wrzaski, urywane przekleństwa i wyzwiska dosadne...

— Dyc się nie pchaj! Czyś w chlewie? — krzyczy jakaś kobieta z pod chóru.

— A ty mnie nie śturkaj!

— Ludzie! Bójcie się Boga, bo mnie udusicie!...

— Jezus, Marya!

— Mamo, mamó! — przedarł się żalony głos dziecka.

— O ratunecku! moja ręka!

— Nie napierajcież tam ze zadku, bo wlecimy na ontarz! — woła silny głos od bala-sków, które trzeszczą pod naciskiem ludzkiej fali!

— Cicho! — zapanował nad wszystkimi stentorowy głos kościelny i zanucił:

Pasterze bieżeli,
Gdy głos usłyszeli...

Organista uciał ognistą polkę... Krzyki i wyzwiska zginęły w potężnym chórze...

Kiedy w świątyni Pańskiej taki zaduch kotłowanie, ciżba — w świątyni przyrody spokój panuje ogromny i wielka cisza. Jasna, puszystą piersią oddycha ziemia ku słońcu, które ponad szczytami toczy białe koło, świetlane... Na wschodzie i na północy zieloność jasna siadła na widnokręgu niebieskim, rozplywając się ku sklepieniu w ciemny, zamglony błękit... Od zachodu chmurki pierzaste wybiegły... Zda się, że białe aniolki o złotawych kędziorkach pochwyciły się za rączki i lecą szeregiem ku zorzy za tęczą poranną... I zda się, że gwiazdki strzepały na ziemię z rozpostartych skrzydełek, bo jedne, spadły już, błyszczą po śniegu djamentowym ogniem, a drugie lecą powietrzem ze mgłą, leciuchno, mieniając się od słońca tysiącami odbłasków...

Tam od kościoła przedziera się powietrzem zgrzytliwy głos organu i zmieszane głosy ostrem wylatują echem — a tu w świątyni przyrody spokój i cisza bezmierna...

*

Ledwo w Jantkowej chałupie podnieśli się ludzie od obiadu, już stary Szczepan „z Boską pochwałą” wszedł do izdebki.

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, coby się darzyło w kumorzach, w obozrze i na polu... dej Boże! — wygłosił jednym tchem, ciskając zboże na dyle, jak siewca na uwrocie...

— Dej Boże! — odpowiedzieli wesoło. Szczepan począł się witać po kolei i gadać głośno. Gwary u niego zawdy dostanie. Postawili przed nim miskę i musiał jeść, rad nie rad, bo go raczyle każdy na swoją rękę.

Jeszcze nie dojadł dobrze, a już cała izba napełniła się ludźmi. Naszli się, jak zwyczajnie sąsiedzi... Był i Tomek od Kozery i Sobek od Kopańdy i Błazek od Kusia — nikogo z bliższych nie brakowało.

Wikcia pozierała ku drzwiom, czy jeszcze ktoś nie przyjdzie... Ale tego ktosia jakosi nie widać...

— Musi przyjść — szeptała sobie. Leciął za mną od kościoła, jak opętany. Wczoraj się ludzie ze mnie śmiali, a dziś zaś z niego, bo ja była na przodku... aha! Tak się ludzi za nos wodzi, jak sami nie idą...

Urwała myśli, pełne wewnętrznej otuchy, bo już stary Szczepan, którego co dopiero powiązali, wytrząsł z rękawa flaszkę wina, postawił na stole i począł zapraszać po kolei...

— Dyc jutro dopiero Jana-pijaka, a wy dziś chcecie pić? — oganiał się Jantek.

— E, pódźcież, nie onaczcie się — ciągnął go Szczepan. — My se ta poradzimy. Przekręcimy świętego Jana na Szczepana i bedzie. Oni się ta o to nie pokłócą.

Zebrani huknęli śmiechem. Wnet „kolejka” przeszła i drugi raz nawróciła kołem.

— Jantoni! — woła Szczepan — ruszcie się no od pieca!

— Pijcie, pijcie, mnie plecyska bołą. Tak mnie w kościele wywałkowali...

— Ja przecie starszy, a nic mi, chwała Bogu — ozwał się Tomek.

— Boście musieli chyba na polu stać...

— Coby! Na środku kościoła. Jak mnie wzięli, padam wam, to mnie zanieśli przed ontarz, a podłogim kerpami nie dotknął.

— Mnie to uściskali niemało! — podjął Sobek. — Zdawało mi się, że już nie dychnę... Jazem zaklął na Miłosierdzie Pańskie, dopiero mię trochę popuścili. Przecie to dawniej takie ściżby nie robili.

— Bo było mniej luda — rzekł z przeświadczeniem Szczepan. — Wy nie pamiętacie, boście młodzi... Drzewiej było tak, że mógł po kościele tańczyć ślebodnie, a nika nie utknął.

— Dziś się nie obertniesz — rzucił Błazek.

— Kany? Jak cię ściskają ze wszystkich stron... Inaczej to było drzewiej, inaczej... Myśleli my, że ten kościół potrwa, Bóg wie, dokąd, a tu ludzi narosło, co niemiara, i stawiaj nowy, abo stój jak pies na cmentarzu.

— Dyc ono tak — zauważył Tomek. — Ludzie rosna, a nie ubywaja...

— Drzewiej to nie tak bylo, nie — ciagnal stary gazda. — Jak przyszlo na swiety Szczepan, tobyś piec korcy owsa w kościele naśmiała!

— Hej, nie gadajcie! — zdziwilo się paru.

— A jakże! Ludzie swięcili po pół ćwierci, bo tego zwyczaj. Trza było bardzo biednego, coby w rękawie przyniósł... Księdza to wam tak obsypali, że w samych włosach nosił z miarkę owsa!... Toż to śmiałał palcami, jak mógł, ale on ta rad był temu, bo jak ludzie wyszli z kościoła, to on na służbę krzyknął i nagarnowali mu zboża po kościele, że bez cały rok miał czem gadzinę żywić...

— No wicie, wicie! — dziwowali się gazdowie. — A dziśby cie ksiądz z kościoła wypędził, jakbyś przypadkiem prasnął w niego owsem... Dyc niejaki!

— Nie te czasy, nie te... — pokiwał głową stary Szczepan — Hej! nie te... I zadumali się starzy — dziwowali młodzi...

A Wikcia ku drzwiom pozierała ukradkiem, rychło się otworzą... Otworzyły się, ale nie ten wszedł, którego miała na mysli.

— Haw mróz na polu! — ozwał się przybyły i tupnął nogą, szcępując z kerpców zmarzły śnieg.

— Nic to, jak sam mróz — oświadczył Błażek.

— Gorszy wiatr — przyświadczył Szczepan — on ta i słusznie, wicie, wiatr mrozowi gada: „Jaks ty sam, to chłop pada: Nic nie dbam!... Jaż ja z tobom — to chłop rusza sobom!...”

— Wiaterek huncfot! — dorzucił Tomek — ani za grajcar nie ma łagodności...

— Ba, jakżebyście chcieli! — roześmiało się paru.

Pogwarka płynęła żywo, bez natężenia myśli, które im latały, gdzie same żywnie chciały, z przedmiotu na przedmiot, zwinnie, jak pliszki po kamieńcu...

Matka wciąż pozierała na Wikcię, ta zaś na drzwi.

— Nie urada się doczekać!... — powtarzała sobie coraz gniewniej. — Jakby nie przyszedł... dałaby ja mu drugi raz! — No!...

Tą stanowczą zapowiedzią uspokoiła się na chwilę.

— Przyjdzie, coby nie — ozymiała se potem. — Jagem ino raz spojrzę na niego, tom już wiedziała, że przyjdzie...

W te razy zadudniło w sieni. Drzwi się otwarły i przez próg chybnął do izby tęgi parobczak.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — Witajże Jędrus! — ozwali się chórem zgromadzeni. Wikcia szarpnęła matkę z radości. Jantek spojrzął na żonę.

— Ma rozum — pomyślał już tysięczny raz w życiu i stanęło mu w myśli „przeznaczenie”.

— Markotno ci na mnie? — szepnął Jędrzek, wyciągając dłoń do Wikty...

Spojrzęła tylko na niego... A umiała dobrze patrzeć!

Jędrzek poszukał w rękawie i wyciągnął sporą butelczynę.

— Namowiny! — huknęło od stołu.

— Już drugie! — objaśniał Szczepan — i to na sam dzień mego patruna. To się znaczy, że w pierwszą niedzielę mięsopustu wesele. Teraz przecie jadwent nie zaskoczy!... Ale nie zwlekaj — zwrócił się do Jędrka — żeby cię post nie zastał, boby już było po niewczasie...

Jędrzek się roześmiał. Butelczynę postawił na stole.

— Pamiętajże se Jędrus — trząśł go za ramię podpity Błażek — żebyś mi się zawdy ku przedkowi garnął!

— Nie zawdy ludzie dobrze radzą — bronił się Jędrzek.

— Co tam! — ozwał się Szczepan — Ludziom nie wierz, ale i sobie zanadto nie ufaj!...

— Na zdrowie! — krzyknął Jędrzek, przechylając szklanke — Wiktuś!

Podeszła i znów spojrzęła na niego. Ciarki go przeszły.

— Po kiegom djabłów uciekał! — myśli se nalewając wino.

— Jak cię ma trafić, to cię trafi... — kończy myśli o „przeznaczeniu” stary Jantek, grzejąc się przy piecu i pozierając z wewnętrznym uszanowaniem na żonę, która była bardzo rada, że się dzieci „ze ślubem nie spóźnią”...

Bazie

W kotlinie górskiej rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodżdzana, kąpie się w tych promieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrznym, falisto płynącym od białych, zimnych szczytów.

Gdziekolwiek w głębokich potokach widnieją szare płyty niestajanego śniegu, lecz gęściej czerwieni się na wzgórkach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami...

W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przyłaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej roztoki rozścieliła się cała wioska: Osiedla mniejsze i większe, otoczone sadami, a potracone rzadko, jak gniazda skowroncze na ugorze.

Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznaną okolicę. Wszystko patrzy. Każda trawka wychyli się ku tobie ciekawym spojrzeniem... Gdzie zajdziesz — wszędzie jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury... Gdzie spojrzysz — oczy... same oczy.

Chwilami zda się, że zleniwiała natura przeciera je po długim spaniu zimowem i napowrót chce się do snu ułożyć... Zimno, płynące od szczytów rzadkim powiewem, odrętwia jej nerwy... Podmuch zachodni huśta, kołysze, usypia...

Powoli dyszy ziemia omdlała piersią i leniwie poziewa... A każdy oddech mgłą się unosi, a każdy poziew ciepłymi oparami — ku niebu...

Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. Toż wesele wielkie ogarnia zapadła w kotlinie wioszczynę i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze, sposępniale długą zimą i zasuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinymi wężykami ku górze, zdradza, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabiąłem krzepi się przy uroczystym święcie na cały boży dzień.

Na polach ptaństwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi po wdmach skalistych, zresztą nikt... Spokojnie i cicho.

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza, kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie. Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „łokutuską”, utyka po kamienistej drodze, wiodącej zygzakowo koło wody na dół. Sunie schyłona, biała, koścista, jak „śmierć”... „Pobożne babsko” — jak ją zwią — „nigdy nie ominie różańca”.

Za nią po dwoje, troje i więcej szarych postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina: z każdej wykwitają gęsto miękuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznym usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca. Nie poznać, że wczoraj był tym samym ludem.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia...

— W jakie to pędy Józka leci! — zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę, wyprzedzającą inne.

— Nie dziwota, — zauważył jeden ze starych. — Bedzie w kościele ścisk, bo wielgie święto. Chciałaby się przed ontarz dostać...

— Coby jej naprzód poświęcili!

— Jużci! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

— Tatusiu! Bedzecie koszyki robić z poświęconych pręci, czy co? — zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się, nie wiedzieć, jak...

— Czy, czy to inno...

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

— Baziu, baziu meee... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

— Ja gdowiec: wyście gdowa — tłómaczy jakiś podeszły gazda kobiecie, obok idącej.

— Pobiermy się na wołę boską i bedziemy pchać jako tę biedę kolanami przed sobą...

— A co się ma stać, to się stanie! — wypadło z gwarliwej gromadki.

— Pomału-że, moja Kasiu! — woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasje naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie nowe śmiechy. A „ta czwarta” ani spojrziała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał:

— Cicho! sygnują!...

Naraz ustały śmiechy.

Ludzie przyśpieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, gorączkowe zdania. Wszystkim dzwoni w uszach i jęczy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zesłi na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony niskim murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obiegł kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych pręci...

Wesoły dzień

Ścieżyną wąską, wiodącą krzywemi linjami w górę wśród rozścielających się pustką dokoła ugorów, wspinają się osłabieni ludziska, zmizerowani, wychudli, nędzni... Idą po parze lub pojedynką, potrącani, z wysiłkiem uginają kolana pod ciężarem torb i tobołków różnych wielkości, przewiązanych szarą płachtą przez ramiona i opadających ciężko na plecy. Każdy dyszy piersią całą i wyciąga naprzód z wysiłkiem szyję, którą gniecie węzeł związanych końców grubej łoktusy. Wola każdego walczy ostatkiem sił z przewieszonymi ciężarami, które odciągają wstecz... Idą starcy, kobiety i wyrostki. Ostatnich z nich prowadzi jakaś siła, zrodzona z niezrozumiałej konieczności. Ciężar, obwisający aż do połowy chudych, dziecięcych postaci, kieruje nimi i wodzi na wszystkie strony. Zdaje się, że niejeden padnie lada chwila: chwieje się, słania, staje, chlipie powietrze i dalej rusza za innymi... Nie zliczyć krótkich wycieczek, które stwarzają dziwną siłę w tych dziecięcych starcach. Jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już ciężar do ziemi przygniata... I nie uwierzyć, że to własna karm ich przywała, że może w myśli już naprzód widziany, wypieczony chleb dodaje im sił do dźwigania ciężkiego ziarna, którego wielki brak w chałupie.

— Życie roślinę pędzi w górę, czleka do ziemi gniecie. Bo taka opatrność boska i nic więcej — mówią starzy, a młodzi od starych uczą się rozumu.

— Nie inaczej — powtarzają — nie inaczej... Inaczej nie będzie...

Idą schyłone, nikle postacie ku wysokim Groniom. Idą, jak karłowate, pokutnicze Syzyfa potomstwo, które toczy przed sobą konieczność kamienną — życie. W niejednej twarzy zapamiętałość straceńca zaschła w znieruchomiałości zaciśniętych warg, niejedne oczy błyszczą świeżą łzą lub stają szklane rozpaczą przed życiem, jak przed otwartym grobem, niejedna twarz uśmiechem okoli się gorszym od łez, uśmiechem nagrobnego filozofa — ale wszystkie oblicza mają jednaką skamieniałość mumicznych czaszek: czarna

skórę, przyschniętą na kości, i ze wszystkich widnieje jeden i ten sam: wieczny, utajony ból...

Idą pustemi ugorami ścieżyną, znikają w potokach, przecinających w poprzek strome działy, wylażą znów po jednym i dalej pną się ku górze, gdzie już poczynają czernieć jałowce i smreki.

Wyszli na równe wzgórze, gdzie wśród zagonów stoi samotnie kwadratowy lasek. W nim tułą się gęste jałowce i smreki, nieobcinane, rozrastają się swobodnie. Po cieniach gąszczowych chowa się ciche osamotnienie i ku przechodniom wychyla z powikłanych gałęzi — puste oczy... Wyżej, ponad wierzchołki drzew wznosi się czarny, drewniany krzyż.

W nabożnej cichości posuwają się postacie ścieżyną koło lasku i, szepcząc czyścowe pacierze, z wewnętrzną trwogą mijają cmentarz choleryczny. A myśl każdego do lat tych czarnych ucieka i bezwiednie łączy je z przyszłością. „Kto wie, daleko-li ona, ta z kosą?” Nie boją się jej. „Bo śmierci nijako nie uciekniesz. Dogoni cię i na kraju świata”... Jedno tylko przeraża ich: „Żeby jako ta nędza obeszła, co się pomału przybliża... Żeby nie wróciły te czarne roki”...

*

Pod Groniami, do słonka, orze chłop wilgotne pole. Jego schyłona, chuda postać robi wrażenie automatu, przyczepionego do żywej maszyny, którą stanowi żelazny pług, idący ostrem żądłem pod ziemią, i dwa kurczące się z wysiłku stworzenia, dyszące pianą woły.

Małe pacholę jedną ręką przyciska pług, by głębiej prul kamienistą powłokę, a drugą, okręconą postronkami, których końce około rogów bydląt owinięte, podnosi lub ściąga ku sobie, jak wyuczony kierownik-woźnica. Znać, że ojciec niejedną już wiosnę zasiał z pomocą pacholęcia.

— Niech się wprawia! — mówił na prośby żony, by go nie zamęczał — ja najemnika opłacał nie będę. A jak mnie nie stanie, to co? Gorzej, jak bieda nauczy po niewczasie...

Takiem dosadnym rozumowaniem zamykał żonie gębę i brał chłopca ku pomocy w pole... I dziś — od rana chodzą po zagonie tam i napowrót, bez ustanku, wciąż. Ty się uśmiechasz, nogi same rozchodziły się i znieczuliły, jak drewno.

Od rana nic w ustach nie mieli, a już spory kawałek z południa.

Kiedy nadeszło „przypołudnie”, ojciec wyprzągł woły z jarzma i dał im po wiązce słomy, mieszanej z polannem sianem. Sam zaś wyciągnął kości na rozścielonym płaszczu i zaczął „przemowę” do syna, który żałośnie pozieirał po chałupie.

— Nie patrz, Jasiu, nie. Nic nie wypatrzysz... Wiesz przecie, że mama poszła pod kościół, po ziarno do Marka. Nie przyjdzie aż ku wieczoru. Na wytrzymaniu zależy, moje dziecko... Dziś póst, dzień święty, wielgi piątek... nie wiesz to?

— Dzień święty, a my robimy! — zauważył chłopiec.

Ojciec wyminął odpowiedź.

— Też za to święty, że da robić... Bo jakby lało, to się nie rusz z chałupy i świętuj z musu. Dziś ludzie na całym świecie nic nie jedzą — starał się wmówić w wygłodniałego chłopca. — Nie krzywdź se, bo nie masz o co. Wiesz, bydlęta jeść muszą, boby ustały.

— I ja ustane! — wyjąkał ze łzami chłopak.

— Ho! ho! ho! — zaśmiał się chłop, a żal tajony zadrgał mu na ustach. — Czyś to może nie chłop?! Jasiu! Dyćby się śmieli z ciebie, żeś taki wygryzina!..

Starał się wywołać w chłopcu ambicję, którą głód wygnał pod ostatnią podeszwę skórną.

— Zresztą — dodał na uspokojenie — jak przyjedziemy do chałupy, to se upieczesz okrawków i będzie. Pojesz na czas, a teraz zaprzęgaj!

I zaprzęgli nanowo i dalej łązić poczęli, stawiając chwiejnie stopy. Bo i ojca wnętrzości gryzły. Oscymał synowi, a sam pozieirał od czasu do czasu na wijącą się w dole ścieżkę, czy baby nie zobaczy przypadkiem, bo się cnie. Tak od świtu bez niczego!...

— Poszła — mruczy chwilami do siebie — i nie widać jej i nie... O, o, cóż to takiego?

Drapie się po głowie i nawraca po drugą skibę. A tu czas powoli się wlecze, i słońce jakoś dłużej świeci, jakby chciało w nieskończoność przewlekać ten utrapiony póst...

Już był śródmiecz, kiedy oracz dojrzał idących pustymi ugorami ludzi. Zatrzymał woły i, przysłoniwszy dłonią zamrużone oczy, patrzył na ścieżkę. Przechodził okiem zgłodniałego ptaka wszystkie postacie.

— Nie idzie mama! — szepnął chłopak.

— A nie! — potwierdził ojciec — ona zawdy musi na ostatku!

Popluł w łapy i krzyknął na woły. Już się nie oglądał ani razu. „Jak przyjdzie, to będzie. Jeszczebych też oczy tracił po próżnicy!” — myśli w duchu i stąpa po roli; a za nim wrona kroczy, mrużąc jedno oko filozoficznie z wyższością, że sama, nie ponieważ, chodzi se za pługiem...

Już przeszło obok sporo ludzi, a chłop zaciął się i nie zapytał o babę. Pochwalili Boga, dali szczęścia i poszli dalej... Paru zatrzymało się przy nim. Mieli chętkę pogwarzyć i odpocząć choć na jeden moment.

— Dobrze się wam orze?

— E! tak ta. Skale i skale, nic więcej.

— A wasza kany?

— Poszła ku kościołu.

Już nie mógł wytrzymać, żeby się nie spytać.

— Idzie ta? nie widzieliście?

— A dyć idzie za nami, hań, koło potoka — ozwał się jeden z nadchodzących.

Chłop spojrział.

— W samy rzeczy!... — rozwidniła mu się twarz. Synek się roześmiał.

— Cóż ta dźwigacie?

— Kukurzycę.

— A wy?

— Ja wziął pół ćwierci pszenice i pół jęczmienia. Zmiesza się, i baba ta skutwasi co na święta, jaką placynę...

— Po kieloz?

— O, dyć drogo, bo na bóg. Żyd nie opuści. A płacić nima czem.

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Nima czem...

— Dużo ta ludu u kościoła? — spytał oracz.

— Dyć niemało. Każdy też, niewycytający, przyjdzie pokłonić się Panieusowi. Ale największy ścisk, to u Marka. Docisnąć się trudno. Bierą: kukurzycę, jęczmień, orkisz, a mąki, to już niemało worków poszło.

— A to wszystko na bóg?

— Ba, juści! O centa we wsi trudno, a każdy chciałby też na Święta cosi gdziesi, bo się wymorzył cały póst, że brzucha nie dopatrzy...

Mimowoli oracz spojrział na dół i kiwnął głową.

— Nie dopatrzy — powtórzył.

I przechodzili tak po jednym, po dwóch, i znikali razem ze ścieżką w jałowcach, stadem przysiadłych na stromej uboczy.

Chłopu się orać odechciało. Usiadł na pługu. Chłopiec podbiegł przed matkę, która już była niedaleko.

— Jasiu, nie lećże tak! — zawołała zdala ku rozpędzonemu synkowi.

— Przecie wam ciężko, mamusiu, to poniesę za was choć chwilę... — krzyczy, dobiegając zdyszany i gwałtem chce zdjąć tłómk z ramienia matki.

Ojciec siedzi na pługu i patrzy. Dwie łzy, jak szklisty groch, stoczyły się po zoranej bruzdami twarzy.

— Biedactwo! — szepnął — ledwie łązi, a pragnie matce dospomódz...

Przez łzy patrzył ku nim, jak szli pod górę. Za ich nadejściem otarł je rękawem.

— Szczęść Boże! — ozwała się kobieta, rozjaśniając uśmiechem młodą, ale zbiedniałą twarz. — Jakże ci się tu orze? Bartuś!

— Dyć widzisz — wyjąkał sucho, usiłując zakryć poprzednie rozczulenie.

Zrzuciła tłómk, siadła przy nim i pogłaskała go po szorstkiej twarzy. Chwilkę zabłysły oczy jego tklivością, przechodzącą z wolna w powszednie zubożenie...

Jaś począł „majstrować” koło zawiniątka z pełnym przeświadczeniem, że przecie „coś” znajdzie, że żyd musiał cosi przyrzucić do ziarna. I nie zawiodło go przypuszczenie. Aż mu się oczy zaiskrzyły, skoro dojrzał w odwiniętym troku płachty koniec rogu plecionej kukielki. Ułamał bez pytania i począł łakomie targać zębami.

Matka tymczasem rozповідаła ojcu o całym podkościele, o wielkiej procesji ludu, który zwłóczy żywność, skąd może i jak może... Potem o sobie mówiła, jak się wypląkała przed obrazem Ukrzyżowanego, jak targowała ziarno, wiele jej żyd zacenił, a wiele ona obiecała, i tak dalej...

— Wzięłach garść pszenicy, bo z jęczmienia suchy placek. Nie wiem, jak ci się ona uda...

Odwróciła się po tłómk, leżący za jej plecami. Chłopiec odskoczył przestraszony; ręce mu opadły, a w zębach trzymał, nie mogąc przełknąć, ostatni kawałek ułamanego różka. Zaczerwienił się po szyję. Matka spojrziała nań z boleścią, i lzy rzuciły się jej do ocz.

— Jasiu! Dyc się nie bój! Przecie to la ciebie, nie la kogo...

Zawstydził się chłopiec i ucałował rękę matczyną, która głaskała go łagodnie po zarumienionem licu. Rozłamała kukielkę i podała chłopu.

— Ukąś-że i ty, boś głodny.

— A cóż będziesz święcić?

— Nie turbuj się, Bartuś! Upiekę chleb, zaniesę i będzie...

Siedzieli w milczeniu jakiś czas, a słońce spadało zwolna na zachód, nad Zimne Doliny.

— Słonko poczyna się mglić...

— Żaloba idzie od Jerozolimy...

— Idzie na cały świat...

— Smutek na ludzi...

Przyciszonym głosem wrywały się nabożne słowa, płynąc melodją na wieczność, w opustoszałą dal... Nastrój dziwny ogarnął skupioną na roli gromadkę.

— Nie będziesz orał? — odezwała się żona z prośbą w głosie.

— Jeszcze choć zagon urwę, hań, po kępę... — wskazał ręką.

— Nie, Bartuś! Paniezuś-by się gniewał, że ty orzesz, kiedy on za nas na krzyżu umiera. Nie orz, nie!... Musisz się przecie umyć i ogarnąć jakoś do kościoła. Czas wnetki leci...

Chłop podumał chwilę.

— Ha, no, moc boska! Nie dziś, to jutro...

Wyprzągnął woły z pomocą Jasia, który je popędził, uradowany, ścieżyną przed siebie. Pług został na zagonie, do jutra. Bartek torbę na ramię zarzucił — i poszli razem milczącą gromadką pod wysokie Gronie. Wnet schowały ich za potokiem rozłożyste smreki i gęstwinią obsiadłe jałowce...

*

Nazajutrz zrana uwijała się Bartkowa baba, żeby jak najprędzej posprzątać w izbie i zejść ze „święconem” ku kościołowi, bo tam ksiądz nie będzie na nią czekał.

— Jasiu! przygotuj chrzan! — woła, zaścielając łóżko.

Jaś szybko zaczął oskrobywać ze skóry leżące na ławie, wilgotne korzenie i układać je w ręcznym koszyku, w którym na dnie spoczywał poleć słoniny i wędzona kielbasa, przechowywana w sąsięku od mięsopustu jeszcze, i dwa świeżo wypieczone ze światłej mąki chleby; prócz tego, spory kruszek soli i garnuszek białego masła.

Wnet uwinęła się kobiecina, przełknęła śniadanie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorączkowo lachy.

— A główienki przygotowałeś? — woła do Jasia.

— Są!

Skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.

— No, to wszystko!.. — szepnęła do siebie, zawdziała chustkę, wzięła do ręki koszyk...

— Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, skoro pożeniesz woły, żeby cygan nie wziął, albo jaki światowiec.

Napowiedziała mu dokładnie, co ma robić, i przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki, wiszącej na odrzwiach, wyszła.

Przed owczarnią, na podwórku, krzątał się Bartek.

— Ostań z Bogiem! — szepnęła.

— Nie siedź ta długo! — rzucił jej na drogę i poszedł do obory wyprowadzić woły, bo słonko wysoko, a pług sam nie urwie ani skiby.

— Jajka! jajka! — rozległo się po osiedlu.

Jaś wypadł przez sień, chłop wyjrzał z obory.

— Co za jajka? — spytał.

— Na święcenie! — woła zdyszana baba. — Zapomniałaś se doznaku i od miedzy musiałaś się wrócić. Jasiu! Tam, w garczku... wyjmij, włóż do konewki i podej!... O!... — oparła się o ścianę — tak mi serce bije...

— To nie leć! — odrzekł chłop z wymówką.

— Nie leć! nie leć!... A ksiądz nie zaczeka!...

Powkładała do koszyka gotowane jajka, które wyniósł chłopiec, i poszła poza izbę, krótszym chodnikiem.

— A nie prawdem gadała? — szepnęła, wchodząc do furtki kościelnego cmentarza. — Już święcą!

I poczęła się przepychać wśród ścisku, wystawiając naprzód odkryty koszyk, żeby go też nie ominęła święcona woda z kropidła, „bo święcone byłoby nieważne”.

Wielki różnobarwny tłum ludzi rozłożył się cichym obozem na cmentarnym trawniku. Stojące, schylone i klęczące postacie robią wrażenie niemych przekupni na jarmarczonym, mieniącym się jaskrawo, tle.

W odkrytych koszykach i na rozścielonych płachtach pełno rozmaitych spożywczych przedmiotów. Przeważa nabiał. Nawet przez sto lat, choćby niosła codzien, nie zniesie kura tych jaj, co się bielą po kościelnym trawniku. Stoją rzędem porozkładane garnuszki masła i bryndzy; nawet soli mógłby na furę nabrać. Chłopina jakiś przyniósł na plecach pełną konewkę mleka; gdzieś tam widać stojące, długie maślniczki. Co ma lud najlepszego we wsi, to pozwólczył na cmentarz. Niech się święci!

A ksiądz poważnie chodzi wśród tłumu i macha kropidłem... Przed nim pochylają się głowy, i wargi machinalnie szepcą wyuczone paciorki.

Na cmentarzu, od strony zakrystji, pali się poświęcone ognisko. Otoczyli je kołem niedorostki, popychając się wzajem i hałasując głośno. Każde dzierży w ręku wiązkę cierniowych gałęzi, każde pcha się do ognia, co sił, by je choć po końcach opalić w płomieniu świętym...

Tak święci lud głowienki; tak zapewne święcili jego przodkowie, przed tysiącem lat.

Bartkowa baba docisnęła się do samego księdza. Pokropił jej zawartość koszyka; chlusiła wodą, jak się patrzy. Zadowolona z tego wielce, poszła się przed ołtarz pomodlić... Ale ino na chwilkę wpadła na końdeczek, bo się musi śpieszyć co prędzej do chałupy. Panieus i Matka Najświętsza muszą przebaczyć, bo też tam nie ma kto co zrobić. Ojciec z Jasiem w polu, a tu telo mycia, przątania, że łeb boli na samo wspomnienie. Upiec by się zdało co z mąki i bryndzy, bo przecie Święta, nie co inszego...

Zakończywszy w ten sposób pacierze, poszła za ludźmi, którzy ciżbą wychodzili z kościoła.

*

Rano, we Wielką Niedzielę — wielka uciecha panowała w Bartkowej izbie. Jedli święcone jajka, święcony chleb ze słoniną i z masłem i święcony chrzan ze święconą solą. Na ostatku wypili po dwa okopiste garczki kawy. Każde wypociło się dobrze przy jedzeniu, i wszystkie twarze poweselały naraz... po takim długim poście!...

Zebrana razem, uszczęśliwiona rodzinna gromadka ozwała się jednogłośnym chórem:

„Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żąda!...”

Piekietko

Słońce, wytaczając się powoli z poza szczytów, padło promieniami na zadymione szyby w Błażkowej izbie. Rozwidniło się nagle w niskiej, zakopconej piekarni.

— Wstawać! Kaśka, Maryna, Józek! — krzyknął Błażek, zrywając się z pościeli.

— Do roboty! — szturknął babę pod zebro. — Nie cujes, kieli to dzień?!

— Cy nie wściórnoscy! — zakląła po cichu, przeżegnała się i wyskoczyła z łóżka. Poszła do kotła po wodę, a słoma wlokła się po izbie za spódnicą, którą po drodze opasywała. Błażek zaś podszedł ku wyrkowi i szarpnął za paruchę, okrywającą dwie chrapiące głośno, zwinięte w kłębek postacie.

— Do południa będziecie się wylegować, cy co? Nie widzicie, że juz kury od wody, a dziód z trzecie wsi?

Maryna, leżąca z kraju, zesunęła się na ziemię i poczęła wycierać zaspane, błędne oczy. Józek mruknął parę słów niezrozumiałych i odwrócił się ku ścianie. Rozłoszczony ojciec zamierzył się pięścią.

— Wstawoj, ty głuchy psie! Bo jak cie polnę!...

Chłopak wytrzeszczył szeroko zaspane oczy.

— Nie cujes, co ci godom?

— Przekłety lysopol!... — wypadło od nalepy, gdzie baba rozdmuchiwała węgale.

— Tłuką się i tłuką, jak pięćset djabłów razem, juz od samego świtu! — poczęła Maryna dojadać ojcu.

Błażek ucichł i ukląkł przy skrzyni do pacierza.

Czuł wiszące nad łusą głową ciche sprzemierzenie bab na cały dzień i dał spokój Józekowi, chcąc zabezpieczyć sobie jego pomoc. „Syn zawdy powinien za ojcem” — uczył go od mała, by mieć na starość oparcie.

— Tako psio pokusa! — mruzczała baba, kładąc drwa na ogień.

Maryna zatknęła za pas onuckę, siadła pod oknem na ławie, przysunęła koszyk ze ziemniakami i poczęła skrobać.

Józek zwłókl się pomału z wyrka, przeciągnął kości parę razy, aż zaskrzypiało w stawach, ziewnął szeroko, i począł iść ku nalepie z zamkniętymi oczyma, po omacku. Utknął się na drwach, leżących przy nalepie.

— Ścieklina! — zaklął, nie wiedzieć komu.

— Nie umies chodzić, zdechlino? — wrzała mu nad uchem matka, zamierzając się ocedzarką. — Jesce łbem wpadnies do gorcka... Uwazuj na się!

— A wtoz drwa nakłol przy nolepie? — oburzył się „głuchy” Józek. — Moze ty, wędrownne ocy! — zwrócił się do Maryny.

„Wędrownne ocy” drzemały nad skrobaniem. Skoczyła, jak oparzona.

— E coz ty chces odemnie, ty psie oblazły!...

— Cit! — przerwała jej matka. — Skrob wartko, bo nie uskrobies na śródpołudń!

Przysunęła cebrzyczek, siadła z drugiej strony koszyka, wzięła nóż i poczęła skrobać, rzucając oskrobane do brudnej, zamąconej wody.

— Tako psio pokusa! — mruzczała sobie od czasu do czasu, a chwilami szeptała „Zdrowaśki”.

— W Imię Ojca i Syna! — zęgnął się Błażek, wstając od skrzyni. — Djabliby ta zmówili przy wos pocierz! Trzescycie, jak stare cierlice.

Posunął się ku drzwiom.

— Stul pysk! Nie obrozoj Boga!

— Kto obrozo?! — odwrócił się do żony.

Ucichło na chwilę. Stary wyszedł na boisko, „głuchy Józek” oprawiał kerpce, a baby uwijały się ze skrobaniem, żeby jak najprędzej uwarzyć śniadanie, bo już „za ramieniem połednie”.

Zanim jednak ziemniaki uwrzały, zanim je matka ocedziła, musieli wszyscy zjeść po pół kopy „djabłów”, „głuchych psów”, „psie wełny”, „psie sierści”, „zdechlin” i tym podobnych delikatesów. Ze psa nic nie zostawili, ani strzępka; tak go obrobili doszczętnie.

— Bedzie to śniadanie, cy nie?! — krzyknął Błażek już w sieni, idąc z boiska.

Lecz za ledwo wszedł za próg do izby — „wsuła mu baba między ocy pornoście grzychów, kunirując, co się ino zmieściło”. Zrobili w izbie taki „toter”, jakby się ze sto ludzi zeszło. Matka z córką wsiadły na ojca, że się nie miał gdzie podziąć. Przywierało wszystko na nim, jak na psie. Szczęściem „głuchy Józek” wmieszał się pomiędzy nich, i na niego wylała się cała wezbrana złość matki i siostry. Stary zemknął ku piecowi i poskurczał się na ławie, rzekłbyś, że „Bogu ducha winien — nic więcej”, a „głuchego” przysiadły baby, że im się ledwo zdołał wymknąć.

Odetchnęli na chwilę, gryząc w cichości gorzką żółć, obsiadłą na sercu.

Niechby teraz kto obcy palec między nich wetknął — wszyscy rzuciliby się na niego, jak podrażnione osy. Poznałby nieszczęśliwy, co to mieszać się w nieswoje rzeczy, gdyby przypadkiem podstawił głowę pod niewylany upust żółci. Opadliby go rozjuszonem gniazdem szerszeni. A ktoś, patrzący z zewnątrz, wydziwiłby się nie mógł ich rodzinnej miłości, jak solidarnie napadają, jak jeden za drugiego nadstawia głowę do rozbicia.

Nareszcie Maryna poustawiała ławki na środku izby i dwie miski postawiła na jednej z nich. Łyżek nie podała, żeby mieć powód rozpoczęcia nowej kłótni z „głuchym”.

— Ino bez obrazy boskie! — karciała ich matka.

Tuzin przewisk różnorodnych rzucili na siebie, zanim siedli „bez obrazy boskie” przy misce.

Stary milczkiem przysunął się ku nim, siadł na końcu ławki i sięgnął po największą, ojcowską łyżkę.

Przeżegnał się przedtem i, składając nabożnie ręce, począł szeptać:

— Pobłogosław Ojce niebieski te dary...

— Posuń-ze sie wilcy krztoniu! — zwróciła mu delikatnie uwagę żona, siadając obok z garnkiem maślanki w lewej ręce, którą przylewała do ziemniaków.

Umknął się — poczęli jeść w milczeniu, sięgając z dala na miskę i polykając całe, a jak drobniejsze — dwa na raz ziemniaki. Niedługo wytrzymała matka, żeby się nie odezwać.

— Józek! Nie wychliptuj mleka!

— To dolejcie!

— Jo ci doleję, ty psio pokrako! Przydzie cas żebyś zjodł suchuteńkiego ziemniaka, jescybyś łapy oblizol.

Stary, zapatrzony w okno, pochylił łyżkę. Mleko z niej wylało się na ziemię.

— E jakze ty jes, weredo? — szturknęła go styliskiem baba.

Nie odpedział jej jeszcze, kiedy coś zadudniło w sieni, a potem drzwi zaskrzypiały na zawiasach.

Obejrzeni się wszyscy. Na progu stanął chuderlawy chłopina.

— Niech bedzie pochwalony!

— Na wieki wieków! Witacie kumotrze!

— Podź-cie dalej! Zeprzycie sie...

Przybyły kumotr zerknął ukradkiem po izbie i uśmiechnął się złośliwie.

— E dyć wy se tu jecie, jecie... a nic nie wiecie, co sie stało...

— Coz takiego?! — wrzaśli naraz wszyscy.

— No, coz takiego — czedził zwolna przez zęby uśmiechając się ciągle. — Nic takiego, ino wam sąsiadowe bydło wlażło do kapusty...

— Kaśka, Maryna, Józek! — wrzasnął stary.

Wszyscy naraz praśli o ziem łyżkami, poskakowali i zrobili taki ścisk we drzwiach, żeby palca między nich nie wsunął; porozbijali głowy o słupy lecieli kupą...

Chuderlawy chłopina wysunął się za nimi, wyszedł drugimi drzwiami, a idąc chodnikiem na dół, trząsał głową i dusił w sobie cichy, złośliwy śmiech...

— Niech mają — szepnął. — Niech se ta łby pourywają...

Nad miedzą stanął, obejrzał się za okół. Wszyscy czworo chodzili po rządках z oczami wbitemi w ziemię.

Od czasu do czasu podnosiła się wśród nich wrzawa i „psie pokuse” dolatywały uszu stojącego, którego wargi drgały tajonym śmiechem.

— Jak to chodzą milconie po kapuście! Bydło — to śpilka — nie użry!... Alem ich wywiódł, ze nie dojedli... Ha! ha!

I poszedł na dół ścieżyną ku kościolowi.

A oni wszystkie rządki przeszli i nie zdołali znaleźć śladu raci bydlęcych, z powodu których mogliby zacząć bitkę ze sąsiadem.

Żli powrócili do izby i poczęli się na nowo żreć pomiędzy sobą, sując se w oczy po kopie djabłów i więcej...

Tak bywa dziś i każdego dnia...

Niedowiarek

Ślota już dwa tygodnie trwa... Zewsząd, z południa i z zachodu, z dalekich łądów i od morza zleciały się mgły i przysiadły tę ziemię nieszczęsną, tę krainę kęp i wiecznej nędzy; rozścieliły się po mokrych ziemniaczyskach, porośniętych wcześniej łopuchem i mleczem trującym, i przeganiają się po ugorach i tłokach, gdzie czerwienią się rdzawo rozorane, niczem nie obsiane, zagony.

— Dawno już nie było takie wiesny — mówią strapieni ludzie między sobą. — Ani to ziemniaków okopać, ani to dosiać pocziwie, jak się patrzy, bo jakże? Deszcze i psoty bez ustanku... O Boże litościwy i drogi, cóż się to stało, aj co, żeś się tak wziął na ten naród nieszczęsny?

— Dejcie-no spokój — powiadają starzy. — Nie bądźcie tacy nagli. I Paniezus się zlituje, skoro go złość opuści...

— Dyc'niejak, ale...

— Najgorzej pierwszą biedę przeczekać, to się już do następnych człowiek wezwycza...

— Bo musi!

— Nie bluźnijcie ino, moi mieli, i nic nie gadajcie naprzeciw wyroków boskich, a miejcie se to na uwadze, że Opatrzność boska zawdy wisi nad nami, ino że my je nie widzimy, bo my je niegodni...

Na to już nie ma nikt nic do powiedzenia, jeden tylko Cyrek, co przy samym kościele siedzi, zdaje się powątpiewać, bo chlipie niezrozumiale oczami... Ale ktoby się ta obzierał na takiego niedowiarka? Nie wierzy — to zmierzy i sam się przekona.

W kościele nabożeństwa się odprawiają na uproszenie pogody u Pana Boga. Fałami lud zalewa kościół drewniany. Cizba w świątyni, duszenie, płacz, przekleństwa i krzyki — po sumie: suplikacje przejmujące, organy i jęki. Wszystek lud płacze zmiłowania Bożego. Z dalekich roztok spłynął do ołtarza i pada krzyżem przed wystawioną monstrancją.

Po nabożeństwie wylewa się potok głów odkrytych z kościelnego cmentarza i rozplywa się po kamienistym rynku. Widać gromadki, powiększające się z każdą chwilą, gwarzące cicho, trwożliwie, bez krzyku i hałasu.

Na długich ławach, przed karczmą-ratuszem, usiedli rzędem gazdowie i wiekowi. Siedzą z pochylonemi głowami: strączki białych włosów osłoniły im spalone szyje. W siwych chazukach z owczej wełny, zdają się być rzędem karłowatych jałowców, osendziałych śniegiem.

I u wójta, w urzędzie gminnym, nie tak gwarno i hałaśliwie, jak zwykle. Poschodzili się, co prawda, wszyscy radni; nie brak Jędrka z nad miedzy i Józka od Chlipały i Tomka Nieboraka ze Skalistego; jest i pan pisarz, „jedna głowa na cztery wsie dookoła, jeden rozum i jedno orendzie”.

Siedzą, bo siedzą, bo ławek nie braknie; piją, bo piją, bo co mają robić na te ciężkie czasy — ale u wszystkich widać zasepienie i utrapienie wieczne, co młyńskim kamieniem sparło się na sumieniu i ani rusz.

— Tak moiściewy — począł Tomek, podając szklankę kumotrowi. — Nie dość jednej biedy na świecie, ba zawdy ich musi być więcy. Człek się ogania, wicie, siepie na wszystkie strony, a tu darmo, bo jak cię ścisną zewsząd, to ani dychniesz człeku nieboraczku... w ręce!

— Dej Boże!

Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

I kolejka przeszła rzędem, nie omijając nikogo. Wójt Okpiśny szynkuje rażno, sprawiedliwie, przymrukuje każdemu z osobna, wszystkim potakuje i ręce zaciera, rad widocznie sobie i całemu światu.

— Pamiętacie wy kiedy, wójcie, taką wiesnę?

— Jakże chcecie, cobych nie pamiętał?

— O, o, cóż się to dzieje moiściewy, kochani, drodzy... — jęczy Tomek. — Ani ziemniaków ogrześć nieporada, ani nic... Do znaku wszystko skapie i zmarnieje... Matko Najświętsza! Dejże też te pogody jakie, uproś przecie u Pana Jezusa, u synaczka swojego najmilszego... Królowo Niebios, Pani moja... w ręce!

— Dej Bożej

— Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

W milczeniu podawali dalej szklankę okopistą, uważając przytem, ażeby nie rozlać, nie sponiewierać daru bożego.

Gdy przyszła kolej na pisarza, ten ujął misternie szklankę dwoma palcami, przejrzał się w niej i wypił; potem nalał drugą i tę już bez namysłu wychylił, podając sturbowanemu sąsiadowi, ktobądź nim był, próżne, zielone szkło. Tak czynił zawdy, odkąd go poznali, więc nikt się temu nie dziwił.

— Musiał się już z tem urodzić — powiadali — abo, kto wie...

— Ho! ho! Nasz pisarz ma głowę i łeb moiściewy, nie na wszy! Kazanie wam calutkie powtórzy, ani słoweczka nie wypuści... Taki pamiętny wicie już od urodzenia.

— Bóg mu dał talent...

— Hej, by miał z czego żyć... Jedni, wicie, żyją z gruntu, a drudzy letko — z talentu. Na jednych Paniezus więcy łaskawy, na drugich mniej.

— Nima to i w niebie sprawiedliwości...

— Nie bluźnijcie! padam wam, bo...

— Kto bluźni?

I wnetby przyszło do bitki, bo kilku ujęło się gorliwie za sprawiedliwością niebieską, gdy powstał pisarz z za stołu i chrząknął wyraźnie trzy razy, co znaczyło, że pragnie zabrać głos... Uciszyli się wszyscy. On zaś, oparłszy pięście o stół, przemówił w te słowa:

— Nie powiem wam nic inszego, jak ino to, co gadał ksiądz pleban na kazaniu.

— Dyc my już słyszeli...

— To usłyszycie drugi raz... Nie zawadzi.

— Słowo Boże — rozpoczął pisarz — jest jako świątły chleb, który się nigdy nie przyje...

— Oj, nie przyje, nie!

— Cicho tam!

— Tak samo, jak manna niebieska...

— Nie jak placek owsiany...

— Cit!

— Słuchajcie!

— A kto je będzie słuchał nieśpiący — ciągnął pisarz — tego uszy staną otwarte na wszelkie słowa mówiące i pisane. I stanie mu się we łbie jasno, mówił ksiądz pleban...

— To już wiemy!

— I... pozna wszelkie arkana wiary naszej przenaświętszej i będzie jako on filozofus, który okiełznał emanację...

— O czymże wy gadacie? — szarpnął go Jędreka za rękaw.

Pisarz, zbity z tropu tak niesłychaną uwagą, chrząknął raz, chrząknął drugi raz, wreszcie wychylił duszkiem stojącą przed nim szklankę.

— Bieda jest, bo jest! — począł, ocierając usta.

— Tak mówcie! — wrzasło paru — co tam filozofy!...

— A wiecie, skąd się bierze?

— Ba! Kadukby ta odgadł... Przyszła i jest psiapara.

— A co gadał ksiądz pleban?

Wszyscy się zastanowili.

— No, co gadał? Powiedźcie... — szepnął Tomek.

Pisarz potoczył dokoła okiem filozofa, „który okiełznał emanację”...

— Grzech jest w narodzie! — huknął. — Grzech jest i nic więcej...

— A bieda kany się podziła? — wtrącił Jędrzek żałośnie z końca stołu.
Pisarz ku niemu oczy gniewnie obrócił.

— Bieda jest w grzechu, a grzech w biedzie! Rozumiesz teraz?

A gdy wszyscy milczeli, podniósł głos i tak prawił:

— Ksiądz pleban dokumentnie wyłożył, o co się rozchodzi. Nie idzie — prawi — o tych, co się zabawią w karczmie, albo w Kółku. Bo co biedny człek ma w niedzielę robić?

— Hej! — potaknęli.

— Ino o tych idzie, co pod dzwonnice nie zajądzą, a dom Boży obchodzą z daleka... Ci to heretycy, niedowiarki — prawił — co niedzielę świętują w chałupie, wymijają uciążliwych ludzi, do spowiedzi nie idą, jak rok długi, ba ino grzeszą i grzeszą... Oni to rozumu uczą się z pism djabelskich i bezbożnych ksiązek, oni to djabłu zapredali swą duszę na wieczne zatracenie.

Tu odsapnął pan pisarz i wychylił szklanekę.
Potem otarł pot z czoła, na którym żyłami wypisane stało kaznodziejstwo.

— Jest tu między wami kto taki, co widział te bezbożne pisma?

Milczenie.

— Chwała Bogu! Sprawiedliwość nie odeszła z narodu... Was to Bóg karze za tych zapredanych; cała wieś cierpi za jednego...

— Za Cyrka! — szepnął Tomek.

— Za Cyrka! — powtórzył pisarz i zaraz dodał: — Dwa tygodnie słonka nie widać. Paniezuś zasłonił swoje oblicze przed nami...

— Bo my niegodni...

— Kto niegodny?!

Powstał hałas. Z hałasu nic nie można było zrozumieć, tylko jedno słowo: Cyrek.

— Ta psiakrew! Ta nas gubi...

— Djabłu duszę zapredał!

— Ksiądz pleban... — począł pisarz.

Nie słuchali go. Zajądłość na Cyrka rosła; dopowiadali o nim coraz to nowsze historie.

— Idę se — mówił Tomek — wyrzecz na pasterzy, a ten, wiecie, co robi w samiotką sumę? wiecie?

— Co?

— Kwiczołe chyta... „Zjadłeś ty djabła, aj-eś ty zjadł” — powiadam mu — „toś tu? A któż za ciebie w kościele?” — „Ja — pada — za siebie najął”... — „Kogo?” — pytam się. „Błażeja Szczyptę” — odpowiada. — „Ja mu siekł, a baba mu żęna”... „Poczekaj, hyclu!” — mówię mu — djabli Szczypty za ciebie do piekła nie najmą; musisz ty sam odługować”...

— Siedem roków, jak nie był do spowiedzi...

— A przed kościołem mieszka...

— Luter krotny! heretyk!

Wójt się wmieszał.

— Nie pije, pada, ani do karczmy nie chodzi...

— E, bo mu djabli wódkę noszą do chałupy! Co się ma fatygować?

— Dyc niejak!

— Powiesić psiakrew, to sie upamięta...

— Nauczyć hycla rozumu!

Wszyscy porwali się od stołu. W oczach każdego zaiskrzył się groźny, ponury fanatyzm.

Nagle drzwi się otwarły i do izby wszedł Cyrek.

Dwadzieścia nóg raptem posunęło się ku niemu, dwadzieścia pięści ujrzał nad swą głową. I zamiast się przerazić...

— Zaczekajcie — rzekł spokojnie. — O co wam to idzie?

Połowa pięści opadła.

— Ty, niedowiarku, ściągasz na nas pomstę! Bez ciebie deszcz leje!...

— Dejcież mi usiąść! — ozwał się Cyrek i, zwracając się do wójta, szepnął: — Cztery flaszki!

Wszyscy, ździwieni, odstąpili go, patrząc po sobie, a wójt skoczył do szafki i postawił na stole cztery litry.

Cyrek podszedł z wolna i nalał.

— Kto nie pije?

Nikt nie odpowiedział, więc przypił do pierwszego z kraju. Poprzysuwali się w milczeniu i nieśmiało. Żaden nie chciał być ostatnim. Pisarz jeno zapomniał sobie o zwyczaju i wypił tylko jedną szklankę.

— To pijecie? — spytał Jędrek.

— No... no... ktoby się to spodziewał?

— Niczemu się, moiściewy, dziwować nie trza... rzekł ostentacyjnie pisarz.

Rozmowa się powiązała, i z drugą kolejką urosła w hałaśliwą gwarę. Każdy się do Cyrka zwracał, każdy chciał z nim mówić.

— E każ-eście się zabrali? — pytali go.

— Do folusza...

— We święto?

— Dyc kież pódę? W robotny dzień czasu nima, a tu portczęta ladaco...

Wyciągnął nogę.

— Słusznie macie kumie — ozwał się polowy — ale też uwazujcie na niedzielę, uwazujde, bo to grzech.

Cyrek się roześmiał.

— Jakby wam cielę zdechło w niedzielę... nie ratowalibyście?

— A i pacierzy nie mówicie — dodał Jędrek — a pacierz od Boga nakazany...

— Ba, i ja się bez pacierza nikany nie ruszam, bobych sie ruszyć nie zdołał... Zawdy go noszę na grzbiecie...

Powstał śmiech.

— Oj kumie, kumie! Byście choć do kościoła zajrzeli raz kiele czas... Naród się modli o pogodę... Dyc i wam potrzebna!

— Ja tak uwazuję — począł Cyrek. — Ludzie sie modlą, to chwałą Bogu, to sie ta bez jednego obejdzie... Pan Bóg ta nie wie nawet, moiściewy, czy żyje na świecie jaki Cyrek...

— Nie bajcież!

— A do nieba sie ta nie napieram, bo mnie i tam posadzą na pośledniem miejscu... tak moiściewy!

Kolejka przeszła rzędem.

— A potem i tak uwazuję — ciągnął Cyrek — jak sie wszyscy modlą, jak sie modli cała wieś, to honor Panu Bogu większy, niżeli odemnie... Tak, tak.

Zadumał się, wsparty na ręce, i z wolna posepniał, a kumotrowie raczyli się rzetelnie jego winem.

— Do nieba sie nie napiera... no powiedzcie! Co to za...

— Bo i zresztą — mruknął Cyrek — nigdybych sie nie dokołatał... darmo! — podniósł głowę. — To tak naprzykład: Ja wnoszę do starosty suplikację i wójt wnosi... To wójta pierwi przyjmą, posadzą na stołku, a ja muszę stać w sieni, burzyć sie i czekać.

— Sprawiedliwie! — kichnął wójt.

— Na zdrowie! — odpowiedzieli.

— Toż to — kończył Cyrek — prędzej wy uprosicie u Pana Jezusa pogodę, niżeli ja mizerny człek...

— Sumiennie gada! — rzekło paru.

— A jak wam bedzie słoneczko świeciło, to przecie na mój grunt nie poleje...

— Dyc każ-by!

— I ja sie wtedy, wicie, będę w polu uwijał.

Nic nie umieli odpowiedzieć.

Wszystkim przypadają do serca rozumne słowa.

— To ci łeb! — mówili między sobą.

— Haraku! — krzyknął pisarz i spojrział dumnie na obecnych. — W mig pojawiła się flaszka.

— O, tu mnie już nie upytacie — szepnął Cyrek i powstał.

— Każ uciekacie?

- Muszę!
- Kaniż wam tak pilno?
- Czas nie stoi, ba idzie... Zawdy go trza gonić, aby nie uciekł...
- Dyc mądrze gadacie, bo mądrze, ale... napijcie się z nami!
- Darmo!
- E siądźcież!

Rzucili się ku niemu i poczęli go ciągnąć gwałtem; jeden za chazukę, drugi za serdak, inny znów, gdzie zdołał dostać i uchwycić... Ale on zaparł się nogami i ani rusz. Zeszamotali się i pomęczyli przy nim.

— Twarde macie sumienie — mówili, dysząc.

— Coby robił na świecie bez niego? Ziemia twarda, jak skała, ani je ugryść, to trza twarde uwziątki coby wyżej... Kumie! — zwrócił się do wójta mam do was nieduży interesik... ale to jutro — dodał po namyśle. — Wyciągnijciego jeszcze flaszczynę!... — szepnął i począł szukać w zanadrzu okrągłaków.

Radni myśleli, że sobie Cyrek flaszkę do rękawa wsadzi, więc niemałe było ich ździwienie i radość, skoro ją Cyrek na stole postawił.

— Ostajecie? — wołali.

— Nie, ino chcę wypić za wasze zdrowie, a potem już do reszty wy moje pokrzepcie... W ręce!

— Dej Boże!

Cyrek pożegnał się ze wszystkimi.

Wójt, bełkocąc coś niezrozumiale, wyprowadził go do sieni, lecz nie dojrzał już złośliwego uśmiechu na ustach Cyrka, bo ten szybko przechybnał próg. Splunął potem przed siebie, poprawił kapelusz i poszedł.

W izbie zawrzało po jego odejściu.

— To mi człek!

— Takich więcy!...

— Wójcie...

— Krześcijan, jak sie patrzy!... Nasze wiary, święte wiary!

— Wójcie! Dejcie-no jeszcze kapkę. Niech już bedzie do równości...

— Pamiętasz Jędrus, jak my se razem pasali... w ręce!

— Dej Boże!

— Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

Planety

I

Niema to, jak chłopu na wsi! Ten ma już raz święte życie. Żeby ino Bóg nagodził ziarna i ziemniaków, to się o nic nie potrzebuje wieldze troszczyć. Wszyscy mają starunek o niego. Ksiądz go radosnie na tym świecie wita, jeszcze ochotniej chowa, zaś przez cały krótki żywot ma pieczę o jego duszę, jako o najmilszej ze stada owieczce, która za życia daje wełnę miękką, a serdak biały po śmierci. Żyd przemyśluje o jego majątku: gdy ma za dużo — ujmie mu ciężaru z głowy, a gdy za mało — dopożyczy i o hipotece się zawie przy czasie, wszystko rozumem swoim wyprostuje. A i panowie z urzędu radzi go widzą. Z podatkiem nie zawdy musi się trudzić dwie mile; przyślą na miejsce swoich ludzi, i wezmą bądźco, nie sam pieniądz. Wszyscy dla niego dobrodzieje, każdy za niego o nim myśli, aby se ino nie psuł głowy próżną turbacją.

Ale już najwięcej starunku o chłopu mają podczas wyborów. Wtedy cały kraj o nim radzi. Gdzie się obrócić, wszędy ino o „naszym chłopie” gwara, jakby każdy po to tylko żył, by chłopu dobra przysporzyć. Schodzą się mniejsi i więksi panowie, ba, nawet tacy, co wsi nie widzieli, i przedumują w głowach swoich, jakby tu chłopu dospomódz. Żeby się dało raj z zapieckiem stworzyć, gdzieby mógł drzemać ślebobnie przy czasie, toby ochotnem sercem uczynili. Tymczasem czynią, co w ich mocy. Żeby se chłop nie potrzebował łamać

głowy, kogo wybrać do sejmu, to mu przysyłają gotowego posła, kosztów przesyłki nie ściągając, jako że to „rzecz urzędowa”. I chłop ma spokój.

Niedawno zdarzyło mi się mówić z podletnim człkiem, który chodził po wsi wybierać na mszę na uproszenie pogody i słonka.

— Wszystko — powiada — byłoby dobrze, żeby w niebie inaczej gazdowali. Ale to tak: rozbłyśnie, drugi raz się zamgli i znowu leje. Nijakiego porządku nad światem. Każdy święty o swoim kraju myśli, a nami się żaden nie zaopiekuje szczerze.

— Zato na ziemi mamy opiekunów...

— Dyc chwała Bogu jest ich dość, nima co narzekać. Jak i z tymi wyborami. Przyszli, wybrali, ani człek nie wiedział o tem...

— Jakże to? — pytam się — przecie jesteście radnym...

— No dyc-ech jest... I nie jeden. Jest ich ta niemało. Ale nikt nie uwiadomił znikąd.

— I jakże wypadło?

— Ha no przyjechał konwisarz z dziandarem i oba z wójtem wybrali pisarza.

— To sprawiedliwie... myślicie?

— Ja nijak nie myślę.

— Prawda, są insi, niech se głowy łamią.

— A jakże... Telo wam ino powiem: że nie wiem, kto kiedyś wygra...

Spojrzał na mnie przebiegle oczyma chytremi i, chcąc zaraz ostłonić myśl niedokończoną, począł:

— To prawda, że my nie do tego. Człek w ziemi zagrzebany, jak ten kret, po uszy. Boga prosi, żeby mu dał zebrać plon mizerny z pola. A co więcy to nas ta już nie dużo obchodzi. W tem cała dba na zimę, co sie latem zbiera. A tego lata deszcz po deszczu, powódź za powodzią — takich naremnic nie pamiętają ludzie już oddawna. Różnie se naród myśli: co takiego, iż te burze i grady tak często przychodzą. Opowiadał mi kościelny, a jemu znowu — ksiądz, że pono jacyś heretycy armatę wynaleźli taką, coby z niej można do chmur strzelać i rozpędzać grad, a te burze tegoroczne to — powiada — kara boska za tę ludzką pychę, choć mnie się ta nie chce wierzyć... Ha, no, kiepskie żniwa. Ja sie też zebrał, myślę sobie: Trza uzbierać na mszę...

Mówił szybko, bez przerwy, nie myśląc o tem, co mówi. Oczyma błakał po górach rozodzianych z lasu. Po chwili przestał i zwiesił głowę w zadumaniu ciężkiem.

— Tak ono tak... gdzież się ta woda ma utrzymać?

Spotkałem jego oczy — zczerwienił się i zwrócił je na bok.

— To, widzicie, jest dopiero jedna z przyczyn.

— Wiadome one i mnie trochę — odparł. — Darmo się wypierać. Ale to tak, mościwy. Człek nie wójtuje, to se myśli: niechta! Niech sie trapią insi. I lepiej ujsć, nie słyszeć, nie wiedzieć o niczem. Bo kiedy myślą za nas, to niech myślą, niechże sie im зда-je, że człek już nima czucia, ani dusze, że sie już tak doznaku sponiewierał w tej ladaczej służbie. Ale... do niczego dobrego to nie prowadzi. Jak i z tymi wyborami... potrzebne to na co? powiedzcie sami. Dyc sie mogą pięknie ładnie bez tych komedji obejść. Naród sam to pokazuje, a nie chcą widzieć. Usuwa się i czeka, co to będzie dalej. Ani temu, ani temu korzyści, jak zawdy. A oni myślą, że ich góra. Śmiech mie ino bierze. Przypomina mi sie zaraz przypowieść o wilku. Słyszeliście już kiedy?

— Nie.

— To wam opowiem, choć to przypowieść już stara. Było tak: pasł się baran nad urwiskiem w lesie. Przylatuje wilk ku niemu i: „zjem cie!” powiada groźnie. „O, co byś mie ta gryzł — odrzekł baran — kości, widzisz, mam twarde. Dyc ty ino stanij, obróć się do urwiska zadkiem, ozdziaw paszczekę, a ja ci sam wskoczę, i będzie prosty koniec”. Wilk, widzicie, usłuchał baraniej rady. Obrócił sie i stanął i ozdziawił paszczę. A baran, jak sie rozpędzi, jak buchnie w niego — to sie ino wilk nogami nakrył, lecący prosto w przepaść. Wstaje potem, wywłóczy sie, wylazł na brzeg — poziera w koło po ugorach, a tu barana ani slychu dychu. „Hm...” — myśli dumający — „czym go zjadł, czym go nie zjadł?”

— Przypowieść wcale trafna...

— Baran i tak głupi, że go nie zdurknął tak, coby już nie wstał...

— Ba, ale wtedy wilk by już nie myślał, a turbacja jego jest najlepsza.

— Ha, co kto woli...

Rozstał się ze mną wesolo i poszedł dalej zbierać na mszę. Kielo uzbierał, nie wiem, ale to wiem, że Pan Bóg dał pogodę niezadługo i mszy już nie było. Za to było nabożeństwo na uproszenie deszczu.

II

Powszechnem jest mniemanie, że chłop jest religijny. Tak nauczają, więc musi być prawda. Ileż to piosnek, już w elementarzach, o kmiotku, który orze zagon swój ojczysty: skowronek śpiewa, słoneczko przygrzewa, a on się modli na roli...

Znam podobne obrazki, malowane w słońcu, ale... trochę ciemniejsze w kolorze.

Oto kobieta, nie pasterka, ba, sama gaździna, pasie krowy na miedzy w słoneczne rano. Śpiewa pieśni nabożne z ogromnem przejęciem, a krowy jedzą cudze zboże. Widzi to dobrze, bo się patrzy na nie, lecz, zamodlona, ani myśli odpędzić je od szkody.

Oto gazda podletni idzie na dół drogą wśród cichych, jasnych pól — ku kościołowi. Zdjął kapelusz idący i szepce pacierze, a słońce promieniami głaska go po siwych włosach. Wczoraj o zmroku ściał smreka w kumotrowym lesie, zwiózł go do tracza i zerznął nocą na deski, a dziś rano, jak zwyczajnie w niedzielę przy święcie, ogolił się i ubrał w przyodziew święteczną i teraz przed innymi idzie do kościoła, aby naprzód podziękować Bogu za błogosławieństwo w pracy i prosić o dalszą łaskę.

Oto znowu ów „kmiotek” wyjechał z pługiem na zagon. Przeżegnał się na początek i zarwał cudzą miedzę. Poczem się mu już gładko orze, uczciwie i składnie. Właśnie co dopiero odwalił na cały lemiesz sąsiadowi skibę i, stając, obejrzał się, czy ta kto nie idzie. Nie obaczywszy z nikąd nic, krzyknął na woły — na pogońcę swego, aby ruszał. Wdzięcznem sercem za sposobność o Bogu myślący, zbaczuje sobie, że w pośpiechu nie zmówił rano pacierza. Ciska wartko kapelusz i odmawia, a w przestankach klnie wołom razem i pogońcy.

I mnóstwo jeszcze podobnych obrazków przesuwa się mi poprzez oczy. Jeżeli się tak religijność objawia, to chłop jest religijny. Nawet wielce! Znam jednego człeka, który za najpobożniejszego uchodzi we wsi, a i słusznie. Ten kazania nie opuści, ani mszy, broń Boże. W kościele siaduje w ławce przy samym ołtarzu. Modli się wargami i oczami, całą postawą pochyloną. Książki pod pachą nosi grube, nawet po dwie naraz. Nie goli się z pobożności, aby nie myślano, że się chce komu z ludzi przypodobać. Ba, to wszystko jeszcze mało. Należy do „Trzeciego zakonu św. Franciszka”, sam jest zelatorem bractwa, nawet paru bractw, obrazy cudowne miewa skądś ze świata sprowadzane, na wszystkie odpusta chodzi, spowiada się często, niema święta, niedzieli, żeby do komunji św. nie przystąpił. No, słowem — taki katolik, o jakiego i w Rzymie nie łatwo.

Cóż, kiedy nienawiść ludzka i takich nie obejdzie. Kiedym raz, niestety, zeszedł się z podejrzanym o niedowiarstwo człekiem i jałem go nawracać słowy pełnymi gorąca i żarliwości wielkiej, pokazując mu, jako przykład, onego człowieka, który w łasce Pańskiej ustawicznie chadza, ten mi porywczco odrzekł:

— Panie! Dycь to największy we wsi złodziej. Takiego osiusta chyba świat drugiego nie zna. Co on ludzi naobdzierał, to ani wypędzić... Któż okradł kasę gminną, jak nie on? Przecie to wiadome. A lichwiarskich procentów kielo zebrał! Niech on sie ta modli. Myśli, że pacierzami Boga udobrucha. Cóż mu i teraz z tego? Krzywdą ludzką sie pasie, a wiecznie je chudy. To okpiś! powiadam wam, to huncfot! nie gazda.

I długo jeszcze byłby pewnie pomstował na niego, gdybym był, ochraniając uszy swoje, nie odszedł zawczasu. Tak to złość ludzka nie daruje nawet wielkich oszustw. Choć po boku o nich mówi, we cztery oczy, nie tak głośno, jak zwykle o małych. Ów człek, chodzący z wieczną pobożnością w twarzy, witany jest wszędzie po wsi, szanowany w oczach. Zapewne też, widząc dla się szacunek wierzchni i posłuch, wydaje się sam sobie świętobliwym wielce.

Taką świętobliwością wielu opętanych. Są ludzie, którzy się chwala, że dwadzieścia i więcej razy byli w Częstochowie, a na Kalwarię świętą co rok idą, nie licząc mniejszych odpustów pobliskich. Chorują z rozżalenia, gdy ich co takiego zajdzie, że nie mogą iść. Oblęd wierutny ich ogarnia. Chyba nie dziedziczny. W bogate plony dojrzewa jezuicki siew.

W życiu codziennym chłopu mało o Bogu szczerego wspominku. Chyba w nieszczęściach, gdy się trafia, ale i to nie we wszystkich. Małe zwaluje się na ludzi i przypisuje winę bliźnim swoim, wielkie dopiero odnosi się Bogu i przyjmuje się w pokorze, jako doczesną karę za grzechy. Oto jeden z tysięcy przykładów:

Gaździnie, już niemłodej, zakulała kura. Ona też, niewiele myślący, porywa ją i leci do sąsiadowej chałupy. Wpada do izby, zapieniona, i, ciskając kurę sąsiadce pod nogi, woła: „Nikt inszy, ino tyś ją okulawiła! to se ją zjedz”. I, nie słuchając tłumaczeń kumoszki, zdumionej taką napaścią, wypada w pole z krzykiem i klątwami i podnosi taki lament wielki, iż całe osiedle wyszło patrzeć, co się to takiego stało. Niezadługo potem zdarzyło się, że prawie na równej drodze krowa jej nogę złamała. Wtedy już nikogo nie napastnęła. Wzięła to poprostu za karę wyraźną za tamto, za dopust boży. Przyszła z płaczem do sąsiadki i do kolan jej upadła, prosząc o niepamięć krzywdy.

Ogółem stosunek chłopu do Boga jest bardzo prosty. „Ja Ci zmówię tyle a tyle pacierzy, a Ty mi dasz to, o co Cię proszę”.

Stąd przysłowia:

„Ta i Panu Bogu nie za darmo się pacierze mówi”.

„Wie święty Marcin, za co płaszczą udziela” i t p.

I w nadziei otrzymania zbawienia wiecznego chłop wypełnia obrzędy, jak się patrzy, chodzi we święto do kościoła, modli się, jak ma o co, i zazwyczaj jest w porządku ze swoim sumieniem. W dociekaniu duże się nie wdaje, bo to — powiada pismo — szatan przez dociekanie upadł. Więc też nie miewa wątpliwości w sercu. Choć się zdarzają...

Orał mi w jedną wiosnę człek już dość starawy. A miał pogońcę nie swojego, ba, drugiego z osiedla chłopu, który był znacznie odeń młodszym. W czasie przedpołudnia — było — siedzieliśmy na trawniku, konie owies gryzły. Chłopi też nieco ujedli i pozakurzali fajki. Mówimy o tem i o owem, co ma łączność z wiosną, z zasiewami, z oraniem, z uprawą. Nagle ów stary przerywa i, wyjmując fajczyne z ust, zwraca się do mnie:

— Miałbych sie was o jedno spytać, ale nie wiem, czy wy mi powiecie...

— No, cóż takiego?

— Kiedy ja już wiem, że wy mi nie powiecie.

— Przecie zapytać możecie.

— Czy też jest to piekło, czy go niema?

— Hm...

— A nie mówilech, że mi nie powiecie! — rozśmiał się gorzko i nieswojo.

Chwilę milczeliśmy wszyscy. Wreszcie pogońca, powstając, ozwał się:

— Ja tak uważuję, że każdy piekło swoje w sobie nosi.

— Może i to być — szepnął stary. I zabrali się do orania.

III

W jednej z górskich parafji wysypała się z rannej mszy przed kościół gromada ludzi. Idę między nich, a znajomi ściskają mi ręce i witają serdecznie.

— Cóż tu u was słycać? — pytam, odwzajemniając pozdrowienia.

— Zawdy jedno, panie: bieda i bieda... Inszego nie usłyszycie.

— Ona to — dorzucił drugi — pcha się drzwiami i oknami do chałupy, że się nieporada ognąć...

— Nie puszczać! — mówię.

— O, panie! Dyc sie człek broni, jak może, ale ręce ustają i rozumu nie starczy...

Zatkasz jedną dziurę, to się druga otworzy — i tak zawdy.

— Hej! — potwierdziła gromada.

Zasępienie w twarzach, w oczach turbacja. Czynią smutne wrażenie zegnanych na rzeź owiec.

— Jezusie drogi! zmiłuj się nademną... — jęczy kobieta jakaś sucha, jak szczypa, i wyciąga ręce do drzwi kościelnych.

— To, wicie, komornica biedna, hań z Koninek — objaśnia stojący obok mnie gada. — Biedactwo miało ino zagon ze ziemniakami, nic więcy, i przyszły dziki te nocy zwyczajnie z lasu i przewróciły do imentu...

— Bedzie ta kopać biedna! Mocny Boże... — litowały się kobiety, poprawiając na ramionach chustki.

— Żeby też kto te dziki od nas wyprowadził — gwarzyli między sobą — toby sie mu gromada złożyła...

— Dyc tu był raz jakiś wędrowny. On by je był wywiódł — objaśniał leśny — hale cóż, kie sie bał hrabiego na się ozgniewać.

— To niech polują na nie, abo co! — rzuciła gniewnie jakaś gaździna. — Przyjdą zbiórki, to pilnuj noc po nocy, boby ci wszystko do znaku zjadły. Że też to na świecie nikogutenko nima, coby się tem zajął!.. Dość neurośnie, bo kany? to jeszcze dziki zepsują. Kielo bied na świecie, to sie wszystkie do nas zwaliły... Laboga! Cóż się to dzieje?

— Mościewy! — tłumaczy jej kumoszka z gorzkim uśmiechem. — Już to tak będzie... Darmo! My świata nie naprawimy...

— Są ludzie, którzy myślą o jego naprawie — wmieszałem się.

— Bóg im pomóż! — podniosły w górę oczy. — Ale, nim słonko zejdzie, rosa oczy wyje.

— Lepiej zdać się ze wszystkim na Pana Boga i czekać końca... — ozwał się z przekonaniem Król, zwany także Munarchą.

— Tak, tak — potwierdził przechodzący obok organista. — Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy...

— Nadzieja w Bogu... w torbie ser! — szepnął za nim złośliwy „kumotr z nad miedze”.

— Włóczy się psiamać ścierwo bieda sobacza... — klął pocichu zdecydowany pesymista od urodzenia i słuwał raz po raz.

Z furtki kościelnej wyszedł ksiądz wikary. Lud cisnął mu się do rąk, całując ze wszystkich stron.

— Czemuż nie idziecie do domu? — spytał.

— Dyc, jegomościu, nima po co, bo tam bieda...

— A cóż tu wystoicie?

— Tak se ta pogwarzemy i poradzimy się...

— Sami?

— Jak nima kota, to i myszy rządzą... — zamruczał z przekąsem stary gazda.

— Dyc pono mają dawać zapomogi... jegomościčku kochany! — woła płacliwie niska kobiecina.

Ksiądz się zatrzymał.

— To jeno biednym komornikom...

— Dyc my wszyscy biedni, jegomościu! — zawołali.

— Niema nic do gęby...

— A na sobie nie urwiesz...

— Hej!...

Ksiądz odszedł, a oni się rozgwarzyli nanowo, podzieleni na mniejsze i większe gromadki. Nie śpieszyło im się do domu. Po co? Wiedzieli, że to samo zawdy zastaną: płacz i zgrzyt... Tu przynajmniej ulżą sobie w pogwarce wspólnej, a widmo troski ciągłej na chwilę ich odejdzie.

Słońce potoczyło się wyżej. Kościelny ostatni opuścił kościół i pozamykał drzwi — a oni stali gromadami, rozgwarzeni, na przedkościelnym kamieńcu. Wreszcie, wygadawszy wszystko, co im ciążyło na sercach, a było tego niemało, poczęli się rozchodzić i tracić. Każdy wpadł po drodze na niedużą chwilę do sklepu, do Kółka, by zborgować mąki lub kaszy. Ale najczęściej ludu cisnęło się do Abrama, który handluje „kukurzycą”. Niejeden wysunie worek z za pazuchy, by nasuć węń jakiego ziarna, „bo też ta dzieciska czekają... a przykrzy im się, przykrzy!...”

IV

Wyszedłem rankiem z chaty mej pod lasem i począłem schodzić na dół wąską ścieżyną wśród zieleniejącego się po ugorach owsa. Byłem już za potokiem, kiedy usłyszałem poza sobą suche, astmiczne chrząkanie, i równocześnie dobiegł uszu mych przytłumiony, chrapliwy głos:

— Zaczekajcie, panie, to się nam pódzie raźni...

Stanąłem. Niski, chuderlawy chłopina spuszczał się wolno z uboczy, koło rozsianych gęsto jałowców, podpierając się zakrzywionym kośćtorem.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał już zbliższy.

— Na wieki. Dusi was?

— A dusi, zawzięta psiamoc krzypota...

— I nogi was bolą?

— A bolą — odparł, dysząc ciężko. — Dusznota się na mnie zawzięta i dusi, a tu, wicie, i w nogi wlażło. Bieda to, wicie, jak chyci człeka choroba na oba końce...

— Radźcie co?

— Coby! Nic nie radzę. Najlepsza rada byłaby, żebyś co zjadł tłustego. A tu nima, bo skąd? Je się tę kukurzycę i je z dnia na dzień... Trzeba coś do tego. Bo, wicie, przy jednej spryce i kot zdechnie. Przyje się doznaku. A tu nima nikany, znikąd, nic...

— Taka u was bieda?

— Bieda, biedka nasza kochana! — zaśmiał się smutno. — Idę ta ku kościołu. Mają pono dawać kukurzycę za darmo, to się może i mnie co dostanie.

Uśmiechał się wciąż. Spoglądałem nań, pełen przykrego zdziwienia.

— Mają dawać biednym, słyszałem, a wy macie grunt.

— Ho! panie! grunt!... Dyc mam te parę morgów, jako i każdy we wsi. Ale niech pan idzie po wsi i pyta, czy jest by jeden, co by powiedział: Mam co jutro do gęby włożyć...

Stanąłem przerażony, jakby nad urwiskiem.

— Tak, tak, panie, tak — śmiał się gorzko — nima-s takiego, nima... Z roku na rok grunta upadają... Nie dziwota! Widzi pan, jaki to owiesek? — pokazał ręką. — Khują się ta zielone ździebelka z glinowarki, ale co na tem będzie? Jedno ziarko. A i to w polu myszy zjedzą, albo i dzikie świnię. Nima-s co zbierać, nima...

Szliśmy chwilę w milczeniu.

— To widzi pan — zaczął — dziad we wsi bogatszy od gazdy, bo idzie od chałupy do chałupy i dadzą mu; jak nie tu, to tu... A gazda nie pójdzie, nie wyciągnie ręki, bo go wstyd... Ale...

— Djabli-ć po honorze, jak pustki w kumorze — szepnął sobie, idąc za mną ścieżyną.

— Straszne! — odganiałem natrętne myśli.

— Co straszne! — podchwycił z cierpkim uśmiechem. — Bedzie jeszcze gorzy... Nadzieja boska... Bedzie! Kto na to poradzi?

A potem, jakby dla uspokojenia myśli, dodał:

— Nie za nas świat nastał, nie za nas się skończy...

I szliśmy ścieżyną wąską, jeden za drugim, mijając odosobnione smreki i stada rozsiadłych po pustych tłokach jałowców.

Męczyło chłopca milczenie, więc mię zagadnął:

— A cóż tam w świecie? Pono była podmucha na żydów...

— Eh, głupstwo — odrzekłem — wobec tego, co się tu dzieje!

— Panocku! Całe życie głupstwo i tyle...

— Bo tu pisały gazety — zaczął znów po chwili, — ale nie jednako pisały... Jedne podają, że na Turbaczu zeszło się tysiąc chłopstwa, a insze podały parę tysięcy... He, he... Dyc my tu bliżutko, a nieśmy nie wiedzieli o tem... Ino, wicie, baby szły z Nowego Targu bez wierchy i widziały hań dwóch chłopów, jak se odpoczywali siedzący przy drodze... Czyby one doniesły?... Babski strach, to wicie, ślepa ma niemałe. Dwoi i troi mu się w oczach wszystko... Ale ono ta coś musiało być, bo i sądy zjechały z Widnia i żołnierzy dali na kwatery... Ono ta nie bez kozery!.. Przyszła, wicie, na żydków podmucha, jako ta zaraza na ziemniaki...

Nie odpowiadałem. Czarne myśli migotały mi przed oczyma. Szedłem wśród ugorów, gdzie dla owiec paszy zamało, a tu ludzie żyć muszą, przykuci na wieczność skalną koniecznością...

— Dziw, że im nic nie zrobili, bo to lud, wicie, zawzięty, zbiedzony i uciskany ze wsząd... — mówił, dysząc za mną. — A ze żydami, tobych pedział, jak ze wszami na łbie... Gryzą cię i gryzą, a ty się drapiesz i drapiesz... Boś niezardny człeku, jak ostatni dziad. Ha no! Pilniejszy brzuch, niżli głowa, bo od niego rozum idzie...

Zakończył sentencją, uśmiechając się cierpko, i szedł za mną, utykając i dysząc pierśmi, jak miechem.

Przeszliśmy tak szeroki dział i schodziliśmy w osiedle, rozłożone czarnymi chałupami nad kościołem.

Wśród zabudowań spotkaliśmy małego chłopczynę. Szedł żwawo, prawie biegł pod górę, bosy w brudnych płócienkach i obstrzępionej koszulinie. Kapelusz trzymał w obu rękach.

— Ty co niesiesz, Jasiu? — spytał go chłop.

— Kukurzycę...

— W kapelusie ino?

— Wystarczy. Gazda mię posłali, bo dają za darmo. Ledwo-ch się dopchał. Zetrze się na śniadanie i zjemy. Ostańcie z Bogiem...

— Mizerota! Jak se to umie radzić!... — popatrzał za nim gazda.

— I to wszyscy tak biedzą? Wszyscy?

— Ho! ho! Zobaczycie, jaki będzie ścisk koło wozu... — śmiał się i dyszał chrapliwie.

Zeszliśmy na kamieniec przez wodę i stanęliśmy przed kościołem. Zdala doleciał mych uszu hałas jarmarczny.

Przed organistówką stał wóz drabiniasty; dokoła cisnęli się ludzie i pchali jedni przez drugich. Na wozie chłop jakiś wymachiwał rękami, z boku wójtowie hamowali pchający się naród. Tłum nie słuchał jednak tłumaczeń wójtowskich, lecz kłębił się i spychał, jakby zajadła, mrówcza czerń. Kto mocniejszy, dostał się prędzej do wozu ponad plecyma innych, brał, ile mógł, i wysuwał się z ciżby.

Kobiety, niedorostki i dziady stały na boku, czekając, aż im się co na ostatku dostanie.

Zniemiałem chwilę i stałem długo, zapatrzony w hałaśliwy tłum. Przed oczyma migały mi twarze znajome „porządnych” gospodarzy, kilkumorgowych zagrodników.

— Dla Boga! Cóż się to dzieje? I ci tu przyszli żebrać?!

— A widzi pan!...

Obok mnie stanął mój towarzysz.

— Trza iść — szepnął — bo by mi się nic nie dostało...

I, dysząc, powlókł się powoli i wmieszał w tłum. Z hałasu wylatywały urywane zdania.

— Nie pchajcie się!

— Mnie przódy!

— Ty se możesz kupić!

— Edyc zryjcie, bogacze! Biednemu się nie dostanie...

I stał wrogo naprzeciw siebie cały ten nędzny tłum. Jeden drugiego żarł oczyma, a każdy wyciągał rękę po lichą zapomogę; gazda, komornik i najbiedniejszy dziad.

V

Słońce spadło nad Babią Górę i toczyło się wielkim kołem ponad zimne doliny zachodu, kiedy wyszedłem na pierwszą polanę stromego zbocza Gorców.

Siadłem na trawie, przebiegając jednym spojrzeniem kilkunasto-milową przestrzeń. Wschód i południe zastąpiły mi góry, okrwawione zorzą zachodu, niby olbrzymie, rdzawe ogniwa, rozpalone w ogniu i powiązane w jeden łańcuch. Zato na zachód leci wzrok niepowstrzymany, opierając się aż o Beskid zachodni.

W kotlinach szarzeją wsie, bielą się kościoły, i Raba wije się kręto dolinami, wydzierając się na szerszą przestrzeń ku północy, za którą lecąc, dochodzi wzrok myślą do Wisły i podwawelskiego grodziska.

Tak niedawno, jak je opuściłem... a już tak dawno!

Siedziałem na polance, błędząc spojrzeniem po niezmierzonej mozaice zbóż, gdzie płaty zielone niedojrzałego owsa najdłużej zatrzymują oko.

Nagły szelest i trzask gąęzi w przyłasku podemną wyrwały mię z zadumy. Z ciemnego gąszcza wyszły naprzód cisawe woły, a za nimi wysunął się osendziały chłop.

— Co was też tu pod wieczór przyniosło? — zagadnął, zbliżając się ku mnie, z prostodusznym uśmiechem.

— Wyszedłem popatrzeć na dół... Ładny widok! — wskazałem ręką.

— Ładny, bo ładny... ale tu jeszcze ładniejszy.

Pokazał na zbocza i westchnął cicho. Wyręby puste, z rzędami pniaków, zaczerwienionych od zorzy zachodniej, ciągnęły się daleko, otaczając nagą postacią strome ubocze gór...

Westchnęłam za nim. Pamiętam dobrze te lasy czarne, smrekowe. Małym chłopcem latałem tu na grzyby, wspinałem się po drzewach za cisawemi wiewiórkami, lub wyciekiwałem powracających z polan pasterzy. Znajomym był mi cały las na trzy mile w około. Jakie tu smreki były śmigłe! Kamieniem nie przecisnął. I to wszystko gdzieś poszło — za tak niedługi czas!...

— E, pójdziecie wyżej, hań ku wirchu? — spytał chłop.

Bez odpowiedzi, poszedłem z nim kamienistą drogą, zygzakiem wiodącą do szczytu.

— Były tu lasy, były!... — mówił chłop, zaganiając woły — piękne i hrube i wysokie... samiutkie smreki! Hale cóż?... Zachciało się hrabiemu (uściwszy was poćciwych) żydowskiego łajna i posprzedał doznaku. Zleciało się żydowstwo, jak mszyce, pozakładało parowe tartaki i chyciło się z kraja. Tutejszy naród kłął pocichu i powiadał głośno: Niech tną, choćby do sądneho dnia... Bo lasy, wicie, były takie, żeby je bez trzy dni nie przeszedł. Ale oni światowców skądś dognali, i ci dopiero poczęli trzebić bez pardonu, że zostało ino to, co hań widać...

Wskazał ręką na zbocze Obidowca, gdzie potracone buki zieleniły się jasno i sterczały gdzieś tam suchymi konarami stare, przegniłe jedle.

— Telo ino zostało... he Cisoń! — popędzał woły, zaśmigując biczem.

— Żal wam tych lasów?

— Ba! Komuby nie żal było?

Szliśmy powoli, bo kamienista droga podnosiła się coraz stromiej. Dokoła nas obsiadły stada zbutwiałych pniaków, wśród nich pięły się trawy różnorodną zielenią.

— Dyc zelżyjmy! — mówił chłop, przystając. — Wyjdziemy na dość czasu.

Usiedliśmy na pniakach przydrożnych. Woły, nie widząc za sobą poganiacza, zboczyły do wrębu i poczęły łakomie skubać zwaloną trawę. Oczy chłopca spoczęły na bydlętach z prawdziwą miłością.

— Niech se ta i one zawrózą, bo głodne — szepnął sobie.

— A wolno wam paść po wrębie?

Popatrzał na mnie, zdumiony, z pewnym niepokojem, chcąc odgadnąć, jaką myśl miałem w zapytaniu.

— Jak nikt nie widzi, to i nikt nie broni — odparł.

Kiwnąłem głową na znak, że nie widzę. Chłop dumął chwilę, przypatrywał mi się jakiś czas, wreszcie począł mówić:

— Bo wy nie wiecie, jaka tu drzewiej była gospodarka. Do lasu należeli wszyscy: tak pan, jak i my. Każdy brał la siebie, kielo chciał, ino sprzedawać nie było wolno. Ludzie wypasowali woły po lesie i brali za nie rocznie po trzysta papierków. Na wołach zarabiał ktoten, bo trawy było dość i nikt jej nie zazdrościł. Ludzie nie byli też łakomi na drzewo, bo go mieli podostatkiem. I nikt się nie pytał, czyje to? albo: do kogo to należy?... bo góry stoją od początku świata i lasy na nich rosły same, nikt ich nie wsiewał... Było tak zawdy i jeszcze za moje pamięci tak było. Jaże naraz gruchnęło po wsi, że hrabia lasy sprzedał. Z początku nie chcieli temu wierzyć; wreszcie, skoro się już dowiedzieli napewno, tak się gromady zawzięły, że padają: Nie puścimy hrabiego do lasa!... Z tego do tego, uwziątka rosła i nie dali dworskim dojeżdzać po siągi. Ani na biczysko hrabiemu się nie patrzy z lasa — powiadali. Wtedy to, wicie, hrabia pościągał wójtów i kazał im się popodpisować na sprzedaj. Juści się podpisali, ino jeden wójt porębski nie chciał. A bez jednego podpisu ni mógł sprzedać. Toż to, wicie, hrabia napisał do cesarza i ten mu przysłał wojsko na pumoc. Ozkwaterowało się po wsi i padali, że nie pódzie, dopokąd wójt się nie podpisze. Porębski uciekł. Doszli go żołnierze na Turbaczu i zastrzelili. Wtedy to, wicie, dopiero hrabia przedał las, porobił kopce i poodznaczał, po kielu jego, a po kielu gminne. Dostało się i gminom po szczypcie lasu, ale cóż z tego, kie one mają walór do całkowite spółki... Bo wicie, i polany poszły do podziału: jedne hrabiemu, drugie chłopom.

Przestał i począł szukać fajki w zanadru. Pochylony, słuchałem w milczeniu sto razy słyszanej historii.

— Tak wicie — kończył, nakładając fajkę — drzewiej było paszy dość i mógłś przychować na bydlęciu: a dziś mało który gazda posiada woły, bo nima ka paść. Na ugorach

ledwo owca zdoła co uskuść. Myleli-my, że jak lasy wytną, to będziemy paść na wrębach. A tu, wicie, postanowili leśnych i nie puszczaają nawet na jagody. Była zajadka wielga od chłopstwa, jak i w śterdziestym szóstym za moje pamięci — ale cóż?... Dwory stoją, jak stały, a u nas bieda coraz większa...

Pykał drobno z fajeczki, spłukał przed siebie i patrzył na mnie prostodusznie. Siedzieliśmy w milczeniu. Wiatr szuścił dokoła nas wysoką gibrzyną i kołysał z szelestem rozłożyste maliniaki. Woły pasły się wrębem ponad drogą.

— E, trza iść — ozwał się chłop — boby jeszcze kto nadszedł niechcący.

Wytrzepał fajeczkę o pniak, schował do zanadrza i ruszył za wołami, zaganiając je ku drodze.

Żał wam duże trawy, żal... — mówił do nich serdecznie. — Dobrze, żeście choć telo urwały... To sie zmarni — wskazał biczyskiem — zeprzeje i zeschnie, a nie dadzą wypaść...

— Za to smreczki podrosną — zauważyłem.

— Kto ta dożyje! Ja, bo nie... he Cisoń, he!

Zbliżamy się do szczytu.

— Za przykładem panów idą chłopcy — tłómaczył mi gazda — co ino kto ma, to ścina, niszczy i sprzedaje... Ale też i nie dziwota, bo bieda szelma dogania... Trudno zdychać z głodu. Nima sie czego chycić na przednówku, to chytają sie lasu. Niejeden zetnie smreka, zawiezie na miejsce żydowi, to go jeszcze musi pięknie prosić, po rękach całować, coby raczył kupić. Żyd sie, wicie, ogania i droży, aże kupi za telo, za kielo sam zechce. Wnetki przehandlują i chłopcy swoje laski; wnetki nie ostanie na budulec, ani na opał. Zaczkajcie ino rok, dwa...

Stanęliśmy na szczycie. Z polany okrągłej, widnej, odsłonił się wspaniały widok na ogołoczone z lasu Gorce.

Te wręby calutkie — objaśnił mi chłop — od Lubomierza jaże do Olszówki, to posiadłości hrabiego z Przysłopia... Hań, te góry nagie, co stoją przed nami, to hrabiego z Kamienice; a te pustacie na lewo, to pana mszańskiego... Ładne posiadłości! nima co rzec...

Kiwał głową z przekonaniem i wpędzał biczem woły do koszar.

Czekałem na niego, patrząc na gołe, leżące pustką dokoła mnie góry...

— Ładne posiadłości! Nima co rzec...

VI

Ostatnie odbłyски czerwonej zorzy padły na szczyt Turbacza. Towarzysz mój zawarł woły do koszar i chodził po polanie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Czego szukacie? — zawołałem.

— Patrzę, czy były dziki te nocy, bo pełno świeżych rywocin...

— I cóż?

— A były psie krwie!... O, tu... Pełniutko śladów...

Chodził, ruszał biczyskiem ziemię i psiakrował po cichu. Po długiej wędrówce podszedł ku mnie smutny i usiadł na trawie.

— Co ja mam utrapienia z tą przeklętą gawiedzią — skarżył się — to ani wypędzić nie zdołę... Zjadły mi orkisz pod lasem, ziemniaki zryły paskudnie, że ugrześć nie porada. A teraz na polanę przyszły i przewracały do imentu. Człek ochraniał i nie pasł, bedzie — rzekę — szczypta siana a tu usieczce (za przeproszeniem was poćciwych) świński obchód. Cóż mnie też nadało, aj, co, na te czasy... Jezus kochany!

— Polujcie...

— Kie nie wolno. Nie wiecie to, że hrabia la siebie dziki chowa?

Mrok zapadał coraz czarniejszy. Z polan pasterze zganiłi woły do koszarów. Wyręby majaczyły w dole jak żydowskie cmentarze. Siedzieliśmy długi czas w cichem zasępieniu. Z roztoki pęzwały ku nam zwolna mroczne cienie.

— Ale zanocujecie w kolebie, bo każbyście szli? — rzekł chłop, powstając.

— Zanocuję.

— To trza przystroić drew na ogień.

Ruszyłem za nim ku kolebie, na drugi koniec polany. Niezadługo nazwłóczył z przylasku suchych gałęzi i pniaków i zapalił w kolebie ognisko. Usiedliśmy na progu szatry. Za plecyma trzaskały palące się gałęzie, przed nami noc spokojna i mroczne w dali szczyty. Zimny podmuch przywiewał ku nam urywany szum roztoki leśnej, to jakieś szepty i głosy niezrozumiałe. Na Obidowcu zajaśniało duże ognisko.

— Kto hań to pali?

— Porębianie — odrzekł chłop z namysłem. — Napewno oni... Tak, tak... Pamiętacie wy? E, pewnie, że nie pamiętacie, bo to już kiel roków...

— Co takiego?

— Te ognie po górach... Za moje pamięci, drzewiej, palili wszędy po wierchach smolne słupy...

— Na co?

— Bo padali, że panowie pódą od Babie Góry i będą wszystkich rznąć z kraja... Naród się strachał i krył po lasach i wtedy to, wicie, dawali na znak jedni drugim ogniste wici... Hej! Były to czasy, były...

— Cicho-no, ktosi śpiewa...

— E, dyć!

Skoro wiatr nieco ucichnął, doleciały nas wyraźne słowa:

„Polana, polana
Bogatego pana —
Polanę skosili,
Pana obwiesili...”

Chłop spojrział na mnie ciekawie.

— To, wicie, taka zwyczajna śpiewka... Nikt jej nie układa, ba, sama się rodzi, jako ten wiatr co duje po lesie...

— Zwyczajna śpiewka! Ktoby pedział...

— Pasterze se śpiewają... Słyszycie-ino!

„Panowie, panowie
Bedzicie panami —
Ale nie bedzicie
Przewodzić nad nami...”

Echo grało i niesło w nieskończoną dal przejętą nutę, połączoną z szelestem bukowych liści.

— Dyć to prawda, choć to i śpiewka... — podumał chłop — Co powiecie?... Do krzty zabaczyłeś! — zerwał się na nogi. — Trza wsuć ziemniaki, bo ogień zagaśnie...

Niezadługo siedzieliśmy w kolebie na żerdzi, wyciągając z watry opalone ziemniaki i jedząc smacznie ze sobą.

Po wieczery ułożyliśmy się na sianie, przyniesionem z kopy, i pookrywali płaszczami grzeszne ciała. Sen jednak nie przychodził. Myśli każdemu leciały przez głowę, jak w opętaniu.

— Nie porada usnąć! — dźwignął głowę mój sąsiad.

— Nie porada.

— Mówmy co!

— Mówcie.

Podumał chwilę, wreszcie zaczął:

— Jak niebożyczka matka umarli, to już temu bedzie... Kiełoź bedzie?... Chyba styrdzieści roków... A jak ja sie ożenił, to bedzie... Kiełoź bedzie?... Może trzydzieści pięć roków, abo i więcy... To, wicie, bez cały ten czas nima ani jednego dnia, cobych se pedział: Chwałaż Ci Panie Boże!... Ino ciągiem idą fale na człeka, jedna za drugą, bez ustanku, jak nie to, to — to, a zawdy musi coś gryźć...

— Każdy ma swojego gryzia... — rzekłem, patrząc w dopalającą się głownię.

— Najwięcej kłopotu, toch miał z babą... Bo to chore było od czasu i do niczego... Haw się obertniesz, to ona już stęka. Co ja z nią przeszedł, moiściewy, to by na wołowy

skórce nie spisał. Do dzisiejszego mam utrapienie. Ciągłe mi poza uszy tyrcy i suści, a sama swija się koło pieca. Juzech se nieraz pedział: Czy mnie Pan Bóg litościwy pokarał, czy co?... No, ale cóż mizerny człeku poradzisz przeciwko wyrokom boskim? Jaki kij wzięlesz — takim się podpieraj...

— Nie inaczej! — potwierdziłem z szacunku dla „niezmierzonych wyroków boskich”.

— Nie dość jedne biedy — ciągnął chłop — to druga się przymitwiła... Prawował ci mnie brat siostra o swoją część... Wybrali przedtem, za życia niebożyczki, co ino żywnie chcieli, a potem padają, że im się wypłat patrzy... Ja też padam: Kie się wam patrzy, to się prawujemy! Juści ciągnęło się to prawo i ciągnęło coś bez dziesięć lat... Co przyszedł wyrok na mnie, to go rekusem zwalili — i tak zawdy. Jaze przecie naostatku oni przepchali i nakładli mi telo kosztów, coch musiał znowu bez dziesięć lat spłacać. Co ja biedy podżył bez cały ten czas, to ani, ani wypędzić nie zdolę. Takie to życie nasze kochane!... Że człek se nieraz powie: Lepiej być parobkiem u ostatniego gazdy, niżeli pierwszym gazdą we wsi... Bo parobek, jak zrobi swoją robotę, to się już o nic nie tróbuje i może spać ślebodnie — a gazda musi se łamać głowę i we dnie i w nocy, skąd wziąć na to, abo na to... Skoro mi Paniezus nagodził dzieci...

— Ileż ich macie? — spytałem senny. Głównia już dogasała. Powieki zesunęły się same.

— Wielu ich mam? Pytacie się... Dyć my tu wnetki porachujemy... Najstarszy Józek z drugim Wawrzkiem pojechali do Pesztu. Ale ta jeszcze nic nie nadeszła. Żeby się choć odżywić mogli!... To dwóch. Oprócz nich jest kieloro w chałupie. Jaśkowi już będzie chyba szesnaście lat, obo kto wie? Gładki chłopak i do rzeczy. Zośka już zastąpi matkę w czym tem. Szymus już da rady paść... No, a te drobne... Poczkać... Kieloż ich jest?... Kasia... Rejcia... Jędrus...

Reszty imion nie dosłyszałem. Odurzyło mnie wilgotne siano i zmorzył ciężki sen.

VII

Rano było duże i słońce stało już nad Pieninami, kiedy zacząłem schodzić wrębem do roztoki. Cierniste łożony i maliniaki tamowały mi drogę; suche, wysokie trawiska oplątywały nogi. Rozsuwałem je rękoma, płynąc falisto, jak lis po stepowych burzanach.

Z pod nog czasem wymknie się chruściel i, jak mysz, cicho po trawie zaszeleści, to przebudzona sarna wyskoczy z gibrzyny, spojrzy lękliwie dookoła i w paru wysokich susach nikt mi z przed oczu.

Długo tak szedłem, ścinając w pędzie leśne kwiaty i otrząsając z łodyg przejrzałe maliny. Wreszcie trafiłem na ścieżkę, wydeptaną przez dziki i stratowaną racicami tak, jakby tędy przegnał co najmniej sto par wołów. Codzień wschodem i po zachodzie słońca można było je tu napotkać, jak idą na żer do wsi i wracają — jeden za drugim...

Pomknąłem szybciej i niezadługo stanąłem na drodze kamienistej, wiodącej spadzisto na dół równoległe z szumiącą roztoką.

Idą wolniej, zrywałem maliny wiszące nade drogą. Wtem usłyszałem z bliska szczekanie psa i równocześnie słowa:

— Burek! pódź tu! Rozumiesz?

Mała psina przybiegła do mnie, zaskomlała radośnie i jednym susem wyprzedziła mnie o kilkanaście kroków, kładąc się pieszczotliwie u nog swojego pana.

Ów „pan” siedział obok jezdnej drogi na wilgotnym trawniku i patrzył uparcie pod nogi.

Za zbliżeniem dojrzałem niewielkie źródło, które przykuwało jego oczy. Podniósł je na mnie, skorom stanął przed nim — i ujrzałem dwie małe zielenawe iskiereczki w zaszuszonej twarzy, umieszczone w zagłębieniach pod brązowym, świecącym czołem.

— Z daleka? — spytał.

— Z wichrów...

— Siądźcie.

Zapraszał mnie uprzejmie, jak w swoim domu, wskazując ręką zielony trawnik. Spocząłem bez wahania. Psina podsunęła się ku mnie z ucieszonym skomleniem.

— Pies, wicie, przeżry człeka odrazu — mówił wpijając we mnie przenikliwe oczka. — Dobremu rad, złego prześluduje. U ludzi nie tak.

— Nie wierzą se?
 — A nie wierzą...
 — Gdzieżecie się zabrali? — spytałem.
 Namyślał się, co ma odpowiedzieć.
 — O dyc, nika — mruknął po chwili. — tak se ta posiedzę, pomedytuję... Robić nima co...
 — Z czegoż życie?
 Spojrzał na mnie zdziwiony.
 — Z tego, co świat nagodzi... — szepnął. — Dy dźwierzyna żyje po lasach, a wyżyje... Nie trapię się, bo niman o co.
 — Gruntu nie macie?
 — Co mi po nim. Telo z nim, co i bez niego...
 — I jakże to?...
 — A nijak!

Patrzywałem nań zdumiony. Świdrował mię oczkami, mrugając nerwowo. W kąci-
 kach zaciętych warg czał się rozumny uśmiech, zrodzony z cichej rezygnacji.
 — Na wiesną jagody są i borówki — tłómaczył mi zwolna — latem zaś maliny, a pod
 jesień czernice i bukiew. To sie ta człek ożenie biedzie... Ino zima gorsza. Pokiela były
 kwiczole, to sie jadło...
 — Teraz niema?
 — Nie przylatują. Nie widać ich już bez trzy zimy.
 — I tak życie...
 — A żyję, pokiela ino zdolę jeść, abo pokiela co najdę... Niektórym to sie ta i cnie
 takie życie. Jak i profesorowi z Lubomierza...
 — Cóż to za jeden?
 — Dyc profesor, taki wicie, co to dzieciska uczy...
 — Ehem!
 — On ta przyszedł do wsi, jak zwyczajnie biedny starowina. Juści gmina przyjęła go.
 Bedzie ta — pada — dzieciska w zimie poduczał i niech sie chowa do wóle Boskie...
 — I chowa się?
 — Dyc chowa. Bez zimę, pokiela uczy, żywią go, wicie, z koleje, z każdego numeru.
 Co im ostanie od jedzenia, to mu w garczkach donoszą, i żywi sie ta. W lecie zaś nikt
 o niego nie dba, bo dzieciska pasą, nie trza go.
 — Płacy nie dostaje?
 — Skąd, kie go nie trza... Żyje ta jagodami czem zdole; grzybów uzbiera w lesie,
 bukwi, mrówek... Ale se krzywdzi. Zeszliśmy sie we wrębie, to opowiadał, że bieda na
 niego...
 — No, wierzę!
 — Ale biedy takiej nima, nie wiercie. Ino to wicie, nie wezwyczajone, to sie mu ta
 i cnie... Schodził on kawał swiatu — dodał po chwili — za morzem był i wszędy. Padają,
 że siedmioma językami gada, ale ja temu nie wierzę.
 — I tu trafił na swoje nieszczęście...
 — Ja medytuję — przerwał — że nieszczęściów nima, ani szczęściów...
 — Ino?
 — Ino są jakiesi planety: złe i dobre. Ale złych jest więcej... musi być więcej...
 — Czemu?
 — Bo sie ludziska skarżą, a to niedobry znak...
 Przsunął się ku mnie i gorączkowo począł mówić. Oczka mu błyszcząły, jak dwie na
 słońcu krople.
 — Trojaki są złe planety, trojaki... Jedne chodzą po niebie, drugie ziemią, a trzecie
 po ludziach... Te najgorsze, co po ludziach chodzą... Wiercie mi!
 — E, bajecie...
 — Ja wam baję? — zastrząsł się nerwowo. — Popatrzcie się! — wskazał źródło, bijące
 w górę. — Ta woda była drzewiej hań w górze, nade drogą i płynęła z boku. Teraz zesła
 tu na dół, ka widzicie, i bije prościutko do góry... Wicie, czemu tu zesła? wicie?
 — No?

— Bo przysła na nią planeta... Śmieście się, a ja wam gadam, że tak.

Nastalo milczenie. On z miłością oczka nieduże utkwil w wodzie, a potem kiwal głową, jakby jej żalował.

— Musialo się jej cosi stać, musialo... — poszepnal z cicha. — Abo kto naplul jej w oczy, abo co, że sie ozgniewala i uciekla na dol... Wierzcie mi — dodal glosno — że i woda ma takie samo czucie, jak człek, abo i drzewo. Okaliczcie smreka, to zaplacze na was sluzami smolnemi, abo uschnie do znaku...

— Ależ to co innego!

— To samo, panie, to samo...

— Ta wasza planeta... hm... jakaz ona jest?

— Moja planeta... moja planeta! — powtorzył, a oczy mgla mu zasly. — Jaka ona jest?... Zeby ja to mogl wiedziec! Nikt z nas nie wie, czy zla, czy dobra... Nikt nie wie.

Nie zrozumial widać pytania. Milczalem jednak, szanujac jego oryginalny swiatopogląd, i przypatrywalem się mu, gdy pochylil głowę, zamyslony, a oczka male utopil w bijacem zrodle.

— Często tu bywacie? — spytalem.

— Prawie codzień. Ciagnie mnie, wicie, to zrodlo...

Gdy podniosl głowę, dostrzeglem nagle dziwne podobienstwo jego oczu z bankami swietlnemi, tworzacemi się na bijacem zrodle.

— Ale, ale! Napijcie sie te wody — prosil — nimam co inszego... Śmiejecie sie — dodal powazniej — a ja wam pedam, że ta woda ma dwojakie dobro: Jak kto pojedzony, to budzi apetyt... jak kto glodny, to sie mu jeść odniechce. Tego pierwszego toh jeszcze nie próbował; drugi zato próbuję codzień...

— To wasza planeta...

— Nie tu ona siedzi — zamruczal. — Nie tu!... Ka ja pódę, tam ona ze mną. Pódź Burek, pódź... Ostańcie zdrowi.

Powlókl się w górę do wrębu... Pies niecierplivy wyprzedzil go i wpadl w wysoka trawę, szukać jakiego pożywienia.

A ja dlugo siedzialem przy zrodle, medytujac nad „planetami” tych ludzi...

Przekleństwo

Mijaja dni za dniami — jednakie, szare, monotonne...

Ludzie chodza tu i tam, jak owce po ugorach, kiedy padnie rok suchy, trawa nie urosnie i nic się nie zieleni po kamienistym tloku, nawet i osty poschną, pokrusza się od wiatru, nawet i osty... Jedyna macierzanka rośnie i trujacy mlecz. Ale tych owce nie jadaja.

Tak ludzie chodza, jak te owce, szukajac paszy po tej ziemi.

Spotykaja się, gwarza, potem znów ida dalej z oczyma utkwionemi w ziemie, szukajac, czegoby nie znaleść...

— Bylicie tam?... i jakze?... — pytaja się wzajem.

— To, co i tu...

— Niema nic?

— Wszedy pustka i pustka i pełno ludzi wszedy...

Przechodza obok siebie cicho, obojetnie. Nawet glów nie podnosza, rozmawiajac z soba. I mijaja się gromadami, przechodza jedni drugich, a kto mocniejszy — idzie przodem, wyprzedzajac innych.

Wielu ma nogi spięte, podobnie, jak te owce, którym się nogi spina, żeby nie biegaly. Chodza drobno i, ocierajac piętami kostki, krwawia je... Czasem zapominaja, że są spięci, i czynia ruchy, jakby mieli isc szerokim krokiem. Wtedy się placza i padajac, uderzaja czołem o kamienie ostre po drodze. A czasem, chcąc dogonic idacych na przedzie, mimo spętania okrwawionych stóp, rozpoczynaja skoki, jak te wrony, z zagonu na zagon. Często krok jednak potykaja się o nierownosci ziemi i musza, zadyszani, spoczywac na miedzy; tymczasem inni przechodza lacno; nawet ostatni dziad, o jednej nodze, równa się z nimi.

— Potem już, nauczeni, godzą się z swym losem, drobia, jak Bóg przykazał, drobia za innymi udeptanym śladem... Przywykli.

Idący na ostatku, schorwali i starzy, dyszą piersiami ciężko, jak miechem kowalskim, stają co chwilę na mały wypoczynek, łapią wargami powietrze, do znaku tak, jak pstrągi, gdy woda na przykopie wyschnie — i wleką się znów za innymi bezustanku, wiecznie, zbierając to po ziemi, co pierwsi odejdą.

A w oczach wszystkich ostających w tyle tli się powoli ogień nienawiści; wiatr wągle rozdmuchuje — poczynają świecić... Złowrogie światło pada na ich twarze i krwawi je podobnie, jak odbłask słońca po zachodzie, gdy padnie na rolę i wilgotne, szare skiby oczerwieni rdzą.

Tajona zawiść w sercach żarzy się i płomieni, zawiść, powstała w słabości bezradnej, zawiść gromadna o paszę, o wodę, którą wypily gromady, przodujące w tej szarej życia smutnego podróży.

Ktoś odkrył źródło życiodajne. Zanim zeń woda trysła białą strugą — już się zgruchnęła wielka mnogość ludu, którzy zepchnęli onego odkrywcę, depcząc po jego ciele, i dokoła źródła uczyniła się ciżba gęsta spragnionych napoju.

Nagle ktoś z nadchodzących, widząc, że się nie dociśnie, zawołał: „Ludzie! To źródło trujące!”

A miał głos ochryply od wiatru i słyhać go było daleko.

Przestrach ogarnął najbliższej stojących, cofnęli się — i zamieszanie wielkie powstało w całym tłumie, podobnie, jak w mrowisku ruchliwym, gdy się gałązkę rzuci między mrówki, a one poczną odchodzić od zmysłów, jakby już nastał dla nich ostateczny dzień.

I jak mrowczyce, które, gdy się upamiętają, znoszą tarnie jałowca, ziemię i cetynę i dorzucają na spadłą gałązkę, aby ją przykryć — tak ludzie, z przerażenia wyszedłszy i lęku, biorą garściami darnie, żwir i piasek i gorączkowo ciskają w to źródło, aż się zakryje doznaku i woda wróci do ziemi.

Mała tylko różnica dwóch podobnych czynów. Oto mrówki obróciły szkodę na pożytek, czyniąc z drobnej gałązki podwalinę budowy górnych piątr — a ludzie tryskające na pustyni źródło, które im duch odkrywczy wydobył z pod skały, wieczny zdrój życia — obrócili w nic.

I to sprawił jeden bezmyślny okrzyk.

Potem, wierząc, że zabili truciznę, radują się wielce pomiędzy sobą, zapominając o głoździe swoim i pragnieniu.

A odchodząc, żegnają krzyżem świętym zarażne miejsce i dziękują wdzięcznym sercem swojemu Bogu, że ich wybawił od niechybnej śmierci i od zatracenia wiecznego.

I dalej, dalej po tej ziemi bez wypoczynku idą, w znużeniu sennem, jak te owce, bląkające się po tłoku jesienią.

Dokoła szarość i posucha, zieloność wszelka znikła, jak przed zimą, kiedy się wszystko w utajone życie zamienia.

Ołowiane niebo cięży i przygniata dusznością parną, w chmurach opadających więzi promienie słoneczne, by nie dobiegły ziemi i gorącymi pocałunkami nie wlały ognia, tętna, krwi, na nowe odrodzenie.

Posepność biała siada na omszałych kamieniach; za nią włóczy się nuda, owa zwiastunka życia poza śmiercią, bezkrwistego życia umarłych.

Pustka i pustka — pośród niej gromady rozpierzchłe straconych dusz, poszukujące wszędzie paszy dla mizernych ciał swoich. A gdy ją najdą, powstaje walka między nimi i dopóty trwa, dopóki słabsi nie ustąpią, lub się walczący srodze i zajadle nie wytracą wzajemnie.

Każdy jednak rzuca hasła powszechnego pokoju, tem głośniej, im więcej pozabijał ludzi, którzy kiedyś, ongi jeszcze, nazywali się jego braćmi.

Na grobie jednych pożywiają się drudzy i, modląc się za umarłych, cieszą się życiem. Spokojni w sercach swoich, póki mają przed oczyma łąki zielone.

A bywa również pomiędzy owcami, że niektóre, zamyślone o zielonej trawie, idąc po ugorach za paszą, zajdą bezwiednie aż nad potok, nad samo urwisko... Stają nagle na czterech nogach — pozierają w dół — a trwoga je ogarnia i lęk taki straszny, że nie mają prawie siły cofnąć się... Patrzą w przepaść szeroko otwartymi oczami — a wełna im się trzęsie, bo skóra cała drży... Ta otchłań czarna u ich stóp — prawie bez dna i granic —

dziwną ma moc nad niemi... Rzekłby kto: urok śmierci... Coś ich tam pociąga — coś okropnego — czarny smok... Odchodzą i wracają nazad, a we łbie im się mąci, jakby im z pod nóg uciekała ziemia. Nie poznają ugorów, po których się pasają przez tyle, tyle lat — nie poznają nawet swoich owiec — odmienił im się cały świat...

Tak bywa nieraz pomiędzy owcami; bywa i między ludźmi, ale rzadziej...

Mało jest takich, którzyby śmierci mogli zajrzeć w oczy, a nie ulękli się jej i nie dali porwać. Mało ludzi, którzyby, stanąwszy nagle nad urwiskiem, spojrzeli okiem aż do dna — chociażby otchłań ta bezdenną była — a potem powrócili z dumą ludzi smutnych, którzy widzieli śmierć...

Ci mogą być mistrzami życia.

Daleko więcej bywa ślepych, pośród tych gromad idących za paszą, którzy, z utkwionym wzrokiem w ziemię, chodzą ponad przepaścią i nie widzą jej.

Aż ziemia pocnie im się usuwać z pod nóg — wtedy czują, że coś się dzieje, ale nie wiedzą jeszcze, co... Dopiero huk lawiny i lecących brył otwiera im przerażeniem oczy, ale już zapóźno! Pod nimi otchłań — nic ich nie zatrzyma — nic ich nie zbawi... Nic...

Oto, jak marnie giną te gromady owcze, które stają nad urwiskiem ślepe... (Ufajmy Bogu!).

Czas wlecze się — a ludzie idą bez ustanku, wciąż.

I mijają się wzajem cicho, obojętnie, jakby się nie widzieli i nie znali się. Serdeczność i uczucie i litość i żal i cały słownik anielskiej rozmowy jest im ze sluchu znany dobrze, lecz go nie rozumieją. Inne bowiem mają u nich znaczenie wyrazy, którymi kiedyś przemawiały matki, żony, kochanki, bracia, przyjaciele.

Miłość — tę nazywają obowiązkiem i najczęściej miewają go na ustach swoich.

Zenią się często między sobą, albowiem, jak mówią, łatwiej jest we dwoje szukać pożywienia i nie tak się cnie, jak samemu człowiekowi, chodzić po tej ziemi, po szarym piasku. Jedno pomocnem jest drugiemu, jedno za drugim nosi tobołki podróżne, zlorzcząc losom, które ich związały przysięgą na całe życie, aż do śmierci.

W tej szarej wędrowce pustynnej zdarzają się drobne wypadki, które już spowszedniały doznaku i nie pochłaniają niczyjej uwagi.

— Ktoś umarł...

— Ktoś umarł nagłą śmiercią...

— Musiało mu się sprzykrzyć i poderżnął się...

— Zato komuś urodziło się dziecko...

— Urodziło się zato naraz troje dzieci..

Urodziło się i więcej na swoje nieszczęście, na wieczną biedę i na wieczny ból.

Śmiechów nie słyhać, jeno gwarę cichą i nieustanną, jak bulkotanie drobnej rzeczki, szemrzącej po piasku.

Jak owce po ugorach, wśród pustki nieskończonej, kiedy rok suchy, nieurodzaj, trawa nie urośnie, tylko jedyna macierzanka i trujący mlecz — chodzą gromady potraczone, mijają się, krążą, przechodzą obok siebie cicho, obojętnie i znów dalej, a wkoło, bezustanku, wciąż...

Tak ludzie chodzą, jak te owce, szukając paszy po tej ziemi...

Mijają dni i lata płyną — jednakie, szare, monotonne...

Po omacku

Noc.

Straszna i cicha noc. Czarne, ołowiane chmury zwieszają się nad ziemią, a w każdej drzemie sto piorunów, które we mgłę tajemniczą owinęły śmierć — nie śpią — czekają — przycisnęły się, jak węże, i łagodnie drzemią...

Ubitym szlakiem dąży tłum. Nieprzejrzana mnogość ludu szerokim idzie gościńcem. Na lewo dół, na prawo pola nieznane — a przed oczyma ciemność i drogi nie widać: kędy się skręca, w którą stronę, do jakich wieszcie horyzontów...

Idący na przedzie czynią wrażenie ludzi, którzy stoją na rozdrożu pomiędzy życiem, a śmiercią. Konieczność wysunęła ich naprzód, jedynie ta konieczność, że przecie zawdy

ktoś musi być na przedzie, jeżeli tłum nie dąży rozwiniętym, jednym szeregiem. Los przypadkowy uczynił ich czołem, a na to czoło strach blady wystąpił i osmęcił je... I stali się mimowoli trupią czaszką narodu.

Za nimi nieprzejrzana mnogość ludu, płynąca ciżbą, zdaje się nie myśleć o drodze swej, pozostawiając, w dowód zaufania i wspaniałomyślnej łaski, ten słodki ciężar idącym na przedzie, na który owi składają im dzięki sercem od strachu drżącym i uśmiechem, konającym z nadmiaru władzy.

Zwolna, ostrożnie posuwa się ten pochód żywych po straconym szlaku. Szeregi przodujące zimny dreszcz przechodzi, ilekroć czują spadek pod stopami, ilekroć ziemia poczyna się chwiać.

Uparcie wzrokiem przebijają mgłę — źrenice same rosną w tej ciemności — a droga na jeden krok z przed oczu traci się i ginie i roztapia się w nieskończoności czarnej, ołowianej nocy...

Zropaczeni, poczynają wątpić, że istnieje dzień. A poczynają wierzyć, że słońce wypaliło się doznaku i zgasło, że księżyc, gwiazdy i wszelka światłość zaginęła — została jeno nieskończona ciemność i wiecznie, wiecznie, wiecznie będzie trwać...

Bogowie jaśni pomarli, zwyciężeni przez bogów ciemności, którzy przez to utwierdzili panowanie swoje, że odebrali ludziom pamięć o wiekuistym świetle... A na początku była Noc... Piekło wygasło — pozostały jeno sadze... Aniołowie służą odtąd bogom ciemności.

A są między idącymi, którzy z rozpaczy uwierzyli w noc, nie zapomnieli jednak dawnej wiary swej — w promienne słońce.

Ci z utęsknieniem wyczekują świtu.

Lecz niema ani jednego człowieka pośród nieprzeliczonych rzesz, któryby wzrokiem przeleciał tę ciemność, opętującą świat, zmógł ją i uczynił oknem otwartym na niezbrane pola, występujące krajobrazem zdumionemu oku — któryby chociaż światłem meteoru zakreślił jasny łuk — oświetlił drogę — i pod stopami, wypalony, zgasł...

Niema człowieka pośród idących rzesz.

Czarne, ołowiane chmury zwieszają się nad ziemią — a w każdej drzemie sto piorunów, które we mgłę tajemniczą owinęły śmierć — nie śpią — czekają — przyciały się, jak węże, i łagodnie drzemią...

Jasna polana

Bór.

Ponury, cichy bór... Odwieczne jedle, smreki porosłe mchem, olbrzymie dęby, chmurosiężne, nieznane ludziom stare drzewa — w cichości wielkiej kołyszą się wolno. A po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra — melodję wieczną, dziwnie smętną, o zaginionych dawno światach, o gwiazdach promienistych i zaklętych w lód...

Do boru tego, do dziewiczych lasów, przyszli wędrowcy z niezbranej krainy, niosąc na ramionach swych topory ciężkie, i jęli ścinać i obalać drzewa — przyszli bowiem na ziemię tę, aby ją pojąć i uczynić karmicielką swą po wieczne czasy.

Wala się z jękiem śmigłe sosny, padają z trzaskiem stare jedle, druzgocząc młode, bladolistne drzewka, które wiatr posiał. Huk piorunowy leci po gałęziach, gdy praodwieczne dęby giną — jęczy ponuro las...

A ludzie tną... dniem i nocą, bez przerwy, bez litości tną. Dziwna upartość w tych małych stworzeniach — zaciętość wielka... na życie i śmierć!

Widząc opór niezwykle skamieniałych drzew, zacinają się coraz bardziej. I serca ich stają się jako stal toporów, które na ostrzu mają śmierć.

A skoro już przecięli spory kawał lasu i stracili z oczu owo miejsce, skąd zaczęli ciąć, wnet gorączka żelazna ich rozgorzałych serc poczęła w nich rozniecać iskry drzemających pragnień, jakie powstają we śnie.

Zapomnieli o celu, w jakim tu stanęli, gdyż go zabiły inne, daleko potężniejsze, urodzone z rozmyślań w snach płomiennego serca i w snach bojem niezwykle wrzącego umysłu.

Uwierzyli w to bez trudu, że ziemię tę posiadli i że sama odtąd stanie się im karmicielką z wdzięczności prostej, iż ją uwolnili od ciężaru drzew, jaki przez wieki całe przygniatał jej piersi. Uwierzyli w to i poczęli mówić pomiędzy sobą:

— Szukajmy polany słonecznej, która daje szczęście spoczywającemu... Polana owa jest przed nami w lesie... Idźmy! szukajmy, a znajdziemy ją.

I poczęli sobie świadczyć wzajemnie, że wiedzą o niej od swych ojców, którzy byli ludźmi sprawiedliwymi, a Bóg sam odpowiedział o niej szeroko praojcom i pradziadom ich, gdy ich posyłał na tę ziemię.

— Idźmy! a odnajdziemy.

Niektórzy jednak mieli serca nieufnością przepelnione doznaku. Ci poczęli radzić w ten sposób:

— Tnijmy ten las nieszczęsny, skorośmy zaczęli, a polana, jeśli jest, sama wyłoni się z niego... Ustaną nasze siły i pomrzemy — to dzieci nasze podejmą topory... Nie one zaś — to wnuki, albo prawnuki...

Ale większość była tych, którzy zapragnęli widzieć szczęście swojemi oczyma, i rada ich przemogła. Porzucili topory i poszli. Ostała jeno mała garstka.

Idących bojaźń owładnęła na samym progu do wieczności. Bo las ten wiecznością im się zdawał. Lecz nie ulękli się i poszli.

A idąc, pomagali sobie śpiewaniem i donośnymi okrzykami dawali znać o sobie towarzyszącemu. Uszli już niemalą przestrzeń, gdy noc zapadła. Ognisk nie rozpalali, bojąc się pożaru. A że gorączka ich trawiła, coraz to większa — więc nie chcieli spoczywać, póki nie zajdą. Wtedy spoczynek sam wyda im się szczęściem, gdyby się w wierze swojej oszukali. Dlatego szli i nocą, potykając się o gałęzie, ścięte przez burzę. Kierowali się gwiazdami i na domysł szli. W dzień spotykali rzeczy różne, prawie im nieznanne. Nie zwracali jednak uwagi na nie, obawiając się straty czasu. Im dalej szli w ten ciemny, nieprzebyty bór — tem więcej w sercach budziło się pragnień, a wszystkie ku jednemu skierowane światu, ku tej polanie jasnej, a nieznannej, która im da wypoczynek i odetchnienie...

Lecz w tym żmudnym pochodzie malała ich wiara. Owa polana, do której wybiegały im serca z takim bezmiernym utęsknieniem, zdawała się cofać przed nimi. Im dłużej szli — tem dalej w myślach ją widzieli, a czasem znikającą prawie z przed ich myśli.

Nieznana trwoga szeptała im bez przerwy słowa przejęte niepokojem, które chwiałały i podcinały wiarę w życie i w moc niepokonaną tego życia. Poczęli wątpić. Z wątpliwości i trwogi urodził się strach. Poczęły im majaczyć przeróżne widma, przesuujące się gęstwinią ciemną poprzez ich drogę. Potworne kształty drzew stawały im przed oczyma, jako straszdyła, tamując pochód. Zwątpienie coraz większe osłabiało ich znużone siły. Czuli, że słabną.

Niektórzy już poczęli szemrać, mówiąc, że dalej nie pójda — i miotali przekleństwa na tych, którzy ich wywiedli. Powróciliby z chęcią do pierwotnego życia i cichej bez troski, lecz zgubili drogę powrotu, bo nie czynili żadnych znaków na korze mijanych drzew.

Nie wiedzieli, jak długo idą — lecz, że do śmierci muszą iść — o tem już nie wątpili w sercach swoich, nękanym smutkiem i rozpaczą.

A oto czarne zbierają się chmury — słońce już zasłoniły — i stoją nad nimi, kłębiąc się zwolna. Żaden promień nie prześwieci przez konary i liście, nie padnie na ich twarze, obielone strachem. Coraz to ciemniej... Las cały drży — dygocą drzewa zalęknione — z oddali ciągnie burza — zagłada idzie piorunowa... Pierwsza błyskawica... daleka... podziemny huk...

Śmiertelna groza owładnęła nimi — stają w milczeniu, jako widma ludzkie — oto ujrzeni w świetle błyskawicy tuż pod stopami swojemi — urwisko... czarne, jak otchłań... bez dna!

W kraju pierwotnych siedzib, towarzysze ich opuszczeni pobudowali chaty z drzewa pięknie obrobionego, aby mieli dach nad głową swoją i miejsce ciche nocnego spoczynku.

W dzień słoneczny wychodzą z toporami do lasu i wspominając braci swych, obcinają grube konary powalonych jodeł i rąbią twarde smreki w miętkości swoich serc.

W głębi stojące, szumią dęby stare, jako to bywało drzewiej — drzewiej, za ludzkiej niepamięci — a po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra melodję wieczną, dziwnie smętną,

o zaginionych dawno światach, o gwiazdach złotych, promienistych i zaklętych w lód...

Nad urwiskiem (II)

Z wąskiego okienka w niskiej chałupinie podleśnej wychyliła się kosmata, czarna głowa chłopca... Oczy głęboko zapadłe, jak ślepią ziemnego nornika, patrzą ciekawie dookoła z dziwną upartością. Jest jakaś siła tłumiona w tej duszy, która oczami na świat wyziera; jest jakiś wieczny, utajony ból, który zastygł na suchej, pomarszczonej twarzy, a krogulczy i ostro zakrzywiony nos zdradza nieukrywaną drapieżność, łagodzoną przez czoło wysokie i brudami zorane. Poznać z wędrownych brwi i ruchliwego czoła pierwotnego myśliciela, którego boli nieświadomość własna, i który, czując małość swoją wobec wielkich potęg, gryzie się tajoną złością i bezsilnym gniewem.

Wschodzące słońce rzuciło ukośnymi promieniami na prawą stronę zwróconej ku północy twarzy chłopca — i wystąpiły ostrzej wyrzeźbione rysy, surowe i kamiennie zastygłe. Małeńkie oczy błyszczą zielonemi światelkami, jak pełne tajonego jadu węzowe ślepie w skalnej kępie.

Ze spokojem muzulmanina, modlącego się rankiem do słońca, stoi w oknie skamieniały chłop. Żaden mięsień nie zadrga, tylko oczy iskrami świecą i myśl pracuje uparcie. On modłów nie wysłał słońcu (odszeptal je przed obrazem na ścianie), ale myślał po roli lata niezoranej, oddychającej szarą mgłą i lekkimi oparami po długiej leży zimowej.

Cała spokojna wieś dyszy przed nim w kotlinie... Widzi rozrzucone osiedla, gdzieś samotnie potrącone chaty, a dokoła nich klinami rozchodzące się zagony, wązkie, wyciągające długie szczyty ku pustym tłokom i ugorom. Widzi zygakiem wśród pól wijącą się roztokę, spadającą z uboczy leśnej. Niedawno czernił się las na uboczu — dziś pustka, nagi wyręb i stada zgniłych pniaków, bielejące w słońcu...

— Jak się to wszystko zmienia, a przecie nie na lepsze... — roztrząsa w myślach, idąc uparcie za wzrokiem, który błądzi po zagonach i ślizga się od miedzy do miedzy, jak żywa, zwinna śklenica.

— Nie dawny czas, jak się złościły łany zboża, hań na dole, długie i szerokie. Wyszedłeś na wierch — tobyś rzekł, że się zorza oderwała od słonka i spadła na ziemię, że się błękitny zniżyły i siadły, bo tak łakami błękitniały lny w czerwonym okoku koniczyny. Schodziłeś na dół z tych wierchów, to ci ptaki śpiewały po lesie i dzwoniło ci echo nieskończone, a po gałęziach śmigle wiewiórki wyprawały ci zabawne psoty. Szedłeś w dolinę koło wody, to cię ogarnęło wysokie żyto i barwne łąki dookoła, gdzieś miedzom nie dopatrzył końca, tak się rozbiegały daleko. Tam zaś w uboczu — jak to niedawno! — szły mrowiem owce na paszę, kerdelami szły, białe i czarne, a za każdą dwoje młodziutkich bliźniąt... Hej, Boże! niedawny czas! Gdzie się to wszystko zapodziało!

— Hań z wierchów dojrzyś ino zagony pokrajane w strzępy. Szarość na nie spadła rdzawym płaszczem i okryła doznaku... Z lasu ci dzieciół nie odpowie, ni żadne ptactwo. Idziesz wrębami ponurem spaleniskiem; białe pniaki sterczą ku tobie, jak jakie piszczele na cmentarzu. Wejdiesz w ugory, to pustka cię niezmiernie ogarnie — nikany owcy białej, żywego bydłęcia — nikany nic... Chyba zgłodzone konisko, jak rama, rozchwierutane wiatrem, zarży od młaki żałośnie, albo ci żmija syknie pod nogą — to oczy potracisz za miedzami, które ci z pod nóg wylatują na wszystkie strony. Taki czas, taki — taka to niedola...

W ciężką zadumę popadł chłop i długo stał przechylony w oknie.

Słonko wytoczyło się na wierchy, idąc nad wyrębami w błękitny strop — a ziemi jasność była wielka, wielka pogoda wiosennego ranka.

W dolinie — życie, ruch. Ludzie, jak krety, w ziemię się worali. Jeden i drugi i dzieciąty na wązkich zagonach rusza się w roli wilgotnej. Błyszczą do słońca lemieszce i wchodzi żądłem do ziemi, a za nimi rdzawe ogony zostają — długie skiby. Wyciągają się koniska chude, to kurczą się leniwie woły, ciągnąc z wysiłkiem ociężały pług, za którym włoczy się schyłona, nędzna postać: rolny pan... Pracują bez ustanku bydłeta i ludzie: tysiąc razy przejdą po zagonie mozolną, krwawą drogą, tysiące zrobią stóp, a każdą zwilży

pot łzawy i bolesny — i to wszystko dla paru suchych stogów, jeśli Pan Bóg i pogoda pozwolą zebrać szczęśliwie.

Widzi te mrówcze wysiłki stojący w oknie chłop. Patrzył na nie drzewiej — patrzy i dziś. Ale mu się zdaje, że olbrzymieją wysiłki, praca rośnie i ciężiej przywala, a owoce karleją wciąż na iment i ziemia się gdzieś zapodziewa...

— Orali drzewiej — orzą dziś. Nie inaczej! Aleć jak wjechał w zagon z pługiem o wschodzie, to wyjechał zeń po zachodzie. Było się kany podzieć na łanie szerokim. Nie grodziły płoty, ni miedze — nie grodziły. Drzewiej człek ziemię obsiał, ona go żywiła i żyli ze sobą w zgodzie wedle ludzkiego przykazania: „Kochaj ziemię — ona cię przyodzieje i nakarmi...” Dziś dwa razy ją telo pielęgnowujesz, a musisz przekląć, bo cię nie obżywi łącno, chyba przyodzieje, skoro se ta już legniesz na smentarzu...

Myśli pełne niewesołych przeczuć wlatują mu zgrzytem do mózgu i odchodzą, pozostawiając zarażne jady złych obaw i cichych zastanowień.

A jedna najuparciej, jak osa, brzęczy mu w uszach i umysł drażni wciąż powracającym pytaniem: „Co to będzie? co będzie?” Ten ciągły, niewyraźny szept nie opuszcza go nigdy. Czasem wydaje mu się, jakby w pytaniu tem słyszał ciekawe głosy swoich dzieci. Czasem znów — ile razy oko zwróci na jutro i na dalszy czas — bojaźń dziwna szponami wpija mu się w serce, a skoro go opuści, to jeszcze długo czuje w sercu jad jej ostrych pazurów.

Teraz stojący w oknie dziwne ma uczucie. Zdaje mu się, że od północy idzie ku niemu czarna mgła... Czuje, że za chwilę zasłoni mu wszystko: osiedla, łąki, pola... nawet i wieżę na kościele. Lada chwila nie dojrzy na świecie zgoła nic... Broni się temu uczuciu jak może, całą mocą wyteża wzrok, pot kroplisty spływa mu po czole.

— Co to będzie? co będzie? — szeleszczą osty dookoła.

Naraz z tej nocy czarnej, z poza mgły występują dziwne obrazy zdumionemu oku. Przez mgłę, przez ciemny przetak, przedziera się gęsta, ruchliwa siatka zagonów. Jak wążiuteńkie nitki, rozbiegają się miedze na wszystkie strony. Zwolna maleją w oczach szare płaty, zwięzają się nieznacznie — miedze zbliżają się ku sobie niepostrzeżenie, jak wskazówki czasu — skibami łączą się i zwierają — nakoniec zwarły się w jedno zbite pasmo. Jak okiem dojrzyć: miedze, miedze i miedze, bez met, bez końca, bez granic...

Chłop drgnął — przypomniał sobie, że te obrazy wracają z każdą wiosną, coraz to silniej i wyraźniej...

Słonko stanęło na południu. Ludzie worali się już daleko w zagony — i nikt nie dojrzał kosmatej głowy w okienku niskiej chałupiny podłejnej, nikt nie napotkał szklanych oczu, zapatrzonych w przyszłość... Nikt.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0599-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).